







26252

1917
1918
1919
1920
1921
1922
1923
1924
1925
1926
1927
1928
1929
1930
1931
1932
1933
1934
1935
1936
1937
1938
1939
1940
1941
1942
1943
1944
1945
1946
1947
1948
1949
1950
1951
1952
1953
1954
1955
1956
1957
1958
1959
1960
1961
1962
1963
1964
1965
1966
1967
1968
1969
1970
1971
1972
1973
1974
1975
1976
1977
1978
1979
1980
1981
1982
1983
1984
1985
1986
1987
1988
1989
1990
1991
1992
1993
1994
1995
1996
1997
1998
1999
2000
2001
2002
2003
2004
2005
2006
2007
2008
2009
2010
2011
2012
2013
2014
2015
2016
2017
2018
2019
2020
2021
2022
2023
2024
2025

Bibl. Publ. m. st. W-wy 1938/39

Dar p. Tempotowskiej.

Robert Buchanan.

8041

R 5903

W CHWILĘ PO ŚMIERCI.

WĘDRÓWKA W KRAJE NIEZNANE.

Przełożył z angielskiego

Anatol Krzyżanowski.

WARSZAWA.

NAKŁADEM KSIĘGARNI

Teodora Paprockiego i S-ki.

41. Nowy-Świat 41.

1892.

8

**Bibl. Publ. m.st. W-wy
Wymiana**



R 51172

Дозволено Цензурою.
Варшава, 24 Февраля 1892 года.



133 3654

Warszawa. Druk Emila Skiwskiego.

N. 110/8017

PRZEDMOWA.

I.

Między umarłym i żywym całunu wisi zasłona,
Lecz się rozchyła cichutko, gdy dusza ulata z łona.

Czuwaj nad konającym, nad ostatniem czuwaj westchnieniem,
Potem w milczeniu patrz w lica, co śmierć powlekła swym cieniem.

Myślisz, że wszystko skończone, serce uderza ci głucho.
Nie! coś porusza się w ciszy—czyż nie dosłyszy twe ucho?

Kir cię otacza dokoła, i myśl i zmysły twe mroczy.
Oto coś idzie przez pokój i patrzy zmarłemu w oczy.

Poczekaj przez czas niedługi—dzień jeden, chwilę, pół chwili—
Przed twojem ostatniem tchnieniem zasłona też się rozchyli,
I ty będziesz chodził w ciemności, nieznany między żywemi,
I patrzył na blade swe ciało, zanim je złożą do ziemi.

II.

Ha! tyś gwiazdy policzył, zmierzył kopalnych potworów kamien-
[ne trumny!...

Ciesz się, ciesz, o prostaczkule! dziś czas twój nadszedł, ty teraz
[jesteś rozumny.

Ha! tyś krzyż wyrwał z ducha, myśląc, że zdzierasz zasłonę
 [z słabej powieki,
 Tyś niebo pozbawił Bóstwa!... ciesz się, prostaczku, twój czas
 [już niedaleki.

Ha! tyś zglębił niebiosą i ziemię,—wiesz, co początek rzeczy
 [i koniec!

A wielkie, ostatnie słowo,—powiem ci je: jam tajemnicy tej
 [goniec.

Patrzysz, lecz nie chcesz słuchać i niema radości w twój duszy;
 Jęcząc, zakrywasz się koldrą, przed głosem mym chowasz uszy.

Ja się nachylam i szepcę,—czemu się bronisz gorącej?
 Dziecinna to tajemnica, lecz poznać nie możesz nic więcej.

Zbierz zmysły chociaż na chwilę, ku mnie się nieco zwróć głową,
 A teraz *śłuchaj!*... Niestety, zasnąłeś, nim rzekłem słowo.

ROZDZIAŁ I.

„Szafot zadrżał pod memi stopami, strzyceczk ścisnął gardło, a ból ostry, dotkliwy, powstrzymał nagle bieg życia w całym ciele—i... posłyszałem szum straszny... Zdawało się, iż burzliwe fale oceanu piętrzą się nad moją głową, że zalewają mnie z dzikim łoskotem... W chwilę zaś później, *w chwilę po śmierci...*“

.

Doczytawszy do punktu tego, Redbrook, blady z wrażenia, zatrzymał się; równocześnie zaś dzwony pobliskiego kościoła radosnym zabrzmiały hymnem; był to bowiem dzień Bożego Narodzenia. Mężczyzna podniósł oczy i w milczeniu słuchał przez chwilę.

„Pokój na ziemi ludziom dobrej woli!“—śpiewał hejnał rozbijałych dzwonów. Dla Redbrook'a jednak dźwięczał on jak echo snu oddalonego; myśli jego odbiegły widocznie w inną stronę.

Światło, wpadające naprzeciwległym oknem, rzucało blask jasny na rysy jego wydatne, o oczach

głęboko oprawionych i zapadłych nieco. Twarz ogorzała, a nieugiętym wyrazem nacechowaną, ożywiały tylko uśmiech, przelotnie na ustach goszczący. Redbrook był przystojnym i młodym jeszcze, pomimo iż wśród włosów jego i zarostu wiły się już wyraźnie srebrne nici siwizny.

Zaduma jego niedługo trwała. Przesunąwszy ruchem niecierpliwym rękę po oczach, pochylił się nad zwojem papieru i czytał dalej. Pismo poplątane, niewyraźne, w szalonym widać pośpiechu czy wzruszeniu kreślone, trudnem było do odgadnięcia; treść jego wszakże widocznie posiadała wartość niezwykłą. Redbrook, przykuty nią, odcierać się nie mógł od tych kart bezładnych.

Przeczytał je do końca, potem odwróciwszy, przebiegał znów chciwie oczyma aż do ostatniej strony.

„Pokój na ziemi ludziom dobrej woli!“ — brzmiały dzwony tymczasem.

Nad kominkiem fantazyjny szkielet straszka i stojący nawprost niego rzeczywisty szkielet dziecka, zachowany w spirytusie winnym, zdawały się przyglądać sobie poważnie, mnożone równocześnie do nieskończoności w pochyłej, zawieszonej nad nimi tafli zwierciadła. A dalej półki, otaczające pokój dokoła, błyszczały mnóstwem butelek, buteleczek i flakonów, używanych zazwyczaj w pracowni i aptece zarazem wiejskiego lekarza.

Było to, w rzeczy samej, w połowie laboratoryum, w którym rozdawano chorym lekarstwa, w połowie gabinet. Umieszczona w kącie szafa z książkami wskazywała to wyraźnie; ogień zaś, błyskający wesoło na kominku, nadawał całej komnacie cechę zacisznego schronienia, tem miłszą, iż na dworze gęste płaty śniegu coraz grubszą warstwą pokrywały ziemię.

Redbrook, oparty o biurko, siedział nawprost okna. Z punktu tego oko jego, oderwane od rękopisu, padało mimowoli na mury więzienia Fordmouth, rysujące się ponuro wśród śnieżnego krajobrazu.

Powstał i, odrzuciwszy ruchem gwałtownym szczerlnie zapisane kartki, zaczął z nerwowem zniecierpliwieniem chodzić wszerek i wzdłuż pokoju.

— Dziwne zdarzenie! — rozmyślał. — Stokroć jednak dziwniejszem jest nagłe przeistoczenie tego człowieka. Opowiadanie daje się doskonale wytłumaczyć nadwreżeniem mlecza pacierzowego i wstrząśnieniem, jakiego doznał cały system nerwowy przy strasznej tej egzekucyi. Czem jednak usprawiedliwić nagłe ukojenie szatańskich instynktów i popędów, rządzących nim dotąd wszechwładnie?

Podniósł napowrót rękopis i czytał ponownie:

„W chwilę później, *w chwilę po śmierci...*“

.

„Pokój na ziemi ludziom dobrej woli!“ — brzmiał dalej hejnał radosny dzwonów. Rzuciwszy przelotne spojrzenie ku oknu, Redbrook ujrzał wysmukłą, ciemno ubraną postać, kierującą się, pomimo śnieżnej zawiei, ku murom Fordmouth'u. Był to wielebny Karol Shadwell, kapelan więzienny, blady, szczupły, starannie ogolony mężczyzna, przypominający raczej księdza katolickiego, niż pastora anglikańskiego kościoła. Spokojny, cichy, z głową nieco podniesioną, Shadwell przemykał się wśród śnieżnej bieli, nie zważając na wichurę, szalejącą dokoła.

— Niech go лихо porwie! — mruknął Redbrook gniewnie. — Błądzi tu ustawicznie, jak duch zaklęty, szukając ludzkiej niedoli, niby sęp padliny! Ciekawy też jestem, co *on* na brednie te powie?

Kapelan, zbliżywszy się tymczasem do murów więziennych, zniknął w ich bramie.

— To się na nic nie zdało — zawołał doktor, patrząc na zegarek. — Trzeba się wybrać do chorych; może świeże powietrze doprowadzi nerwy moje do porządku. Inaczej, zacznę cierpieć na przywidzenia, jak baba szpitalna.

I, zamknąwszy przy słowach tych rękopis do biurka, przeszedł do przedpokoju, by wziąć futro, kapelusz i rękawiczki. Gdy jednak, ubrany, otworzył drzwi na ulicę, u progu spotkał go, oko

w oko, jeden ze strażników więziennych, a salutując po wojskowemu, meldował:

— Panie doktorze, wzywają pana natychmiast... W celi skazanego znów się coś złego stało.

ROZDZIAŁ II.

Pięć lat przed chwilą, w której d-r Redbrook odczytywał ciekawy rękopis, w sierpniu 18... r., na jednej z wązkich uliczek, wiodących od portu do miasteczka Fordmouth, założony został nowy sklepik. Otoczenie, w jakim przekupień rozłożył swe towary, złej używało opinii. Zaułek był najbrudniejszy, najbardziej opuszczony z całej błotnistej, wstrętnem powietrzem rażącej dzielnicy; sklepik zaś, jak i wszystkie okoliczne, mieścił przybory żeglarskie i rybackie, oraz odzież dla dzielnych, uwijających się wśród portu marynarzy. Czarne lub żółte płótno woskowane, brudne garnitury wszelkich miar i przeróżnego kroju, kamizele, pachółki drewniane do ściągania butów—wszystko to wisiało rzędem w otworze drzwi wązkich, na ulicę wiodących. Okno przybrane było towarami tegoż samego rodzaju. Wewnątrz zaś, poza kantorem, piętrzyły się stosy przeróżnych morszczyzn,

od mechów i muszli do szczątków po rozbitych okrętach, do tej zdobyczy oceanu, wzgardliwie na brzeg przez rozgniewane fale wyrzucanej. Widziałeś tu wszystko, od starego żelaztwa i resztek ubrań aż do potłuczonego popiersia kobiety, które z odtrąconym swym nosem czyniło wrażenie potwornego pogańskiego bóstwa.

Nad sklepem królował napis, z niekształtnych liter złożony:

Maurizio Modena,

Magazyn towarów okrętowych i marynarskich.

Gdy zaś drzwi owego magazynu otworzyły się po raz pierwszy, ludzie ujrzeni w jego głębi samego właściciela, Maurizia Modenę, mężczyznę wysokiego, chudego, o brodzie i włosach jak smoła czarnych, o pełnych, krwią nabiegłych ustach i cerze matowej, trupio bladej.

Jeżeli jednak nazwisko mówiło wyraźnie, iż był on Włochem, rysy jego wzamian i ta cera kredowo blada, łącznie ze smętnym wyrazem oczu czarnych, z martwem prawie, w dal wpatrzonem, a jednej tylko rasie właściwem spojrzeniem, wskazywały aż nazbyt wyraźnie, iż ów Włoch mniemany żydowskiego musi być pochodzenia.

Zkąd się wziął tutaj, dlaczego postanowił w smutnej tej, opuszczonej miejscowości walczyć o byt i na chleb pracować, kim byli jego przodkowie, jakim dawniejsze życie, na czem wreszcie

oszczędził, czy zarobił sumkę, potrzebną do założenia podobnego handlu,—były to pytania, o które nikt się nie troszczył. Może dlatego, iż, co prawda, niktby również nie umiał na nie odpowiedzieć. Modena ukazał się nagle, jak pajak wśród rozstawionej sieci, i jak on również zdawał się przyczajony na zdobycz tylko czyhać.

A jednak ci, którzy po raz pierwszy przestąpili próg sklepu, bez względu, czy to byli sąsiedzi, ciekawością tylko wiedzeni, czy spóźnieni nabywcy z ziemiodobnego rodu, wszyscy znaleźli w Modenie łagodnego, nieobraźliwego człowieka. Wprawdzie mówił on bardzo mało po angielsku, niemniej, dzięki ujmującej a obcej Brytańczykom dworskości, z łatwością porozumiewał się z każdym. Ta wytworność harmonizowała z zewnętrzną jego powierzchownością. Licząc lat od trzydziestu do czterdziestu, wyglądał jednak starzej znacznie. Wysokie bowiem, myślące jego czoło przybierało czasami wyraz posępny, podnoszony jeszcze przez kruczono czarną, do piersi spadającą brodę; wązkie zaś, delikatne, woskowo-białe ręce zdawały się niestworzone do poruszania prostackich, nagromadzonych w sklepie towarów.

Nie upłynęło też parę miesięcy, a w okolicy wiadano doskonale, iż Modena do przebiegłości w handlu, do cierpliwej staranności około najdrobniejszych jego szczegółów, łączy jeszcze jakąś

wiedzę tajemną. Mieszał on bowiem, przyrządzał i gotował nieznanym innym dekokty, lekarstwa i napoje, które zarówno marynarze, jak ich żony, za cudownie skuteczne uznawali. Ponieważ jednak ta część interesów sprzeciwiała się panującym prawom i, jako przynosząca szkodę nietylko ludności, lecz lekarzom i aptekom, surowo była przez policję wzbroniona, Modena więc otaczał praktykę swą pozorami tajemnicy, co nie przeszkadzało, że jej głównie zawdzięczał zarówno dochody, jak i znaczny rozgłos wśród miejscowej ludności.

Dzięki tym prostym napozór warunkom Włoch w krótkim czasie dość znacznych dorobił się pieniędzy. Co czynił z nimi po upływie lat kilku, czy zamieniał je na fundusz obrotowy innego interesu, lub, umieściwszy w banku, zadawał sobie zwykłym procentem,—to, jak wszystko, dotyczące człowieka tego, głęboką było tajemnicą. W mniemaniu wszakże sąsiadów utrzymywało się uparcie przekonanie, że Modena trzyma fundusze swe ukryte w małej izdebce za sklepem, która służyła mu za sypialnię i jadalnię zarazem.

Pomimo tego, po dobro cudzoziemskiego handlarza nikt nie wyciągnął nigdy cheiwej dłoni. W obejściu jego bowiem ugrzecznionem i w obliczu łagodnem napozór tkwił jakiś wyraz nieujęty, który najbardziej nawet zrozpaczonem i odważnym wskazywał wyraźnie, iż pożądanie własno-

ści Modeny mogłoby narazić złodzieja na zgubne a niepowetowane skutki.

Prócz wymienionych powyżej, Maurizio posiadał jeszcze jedno źródło dochodu, również niechętnie przez prawo i policję widziane. Od czasu do czasu, w razie potrzeby, zaliczał on chętnie drobne sumki przyjezdnym marynarzom i sąsiadom, opierając bezpieczeństwo pieniędzy swych na przedmiotach cenniejszych, które, grzecznie mówiąc, zatrzymywał na czas pożyczki u siebie. Inna, byle pewna gwarancya nie była tu także odrzucaną. Niejeden też rozhulany marynarz, niejeden prosty majtek lub posługacz okrętowy, przepiwszy w pobliskim szynku wszystkie oszczędności i kosztowniejsze drobiazgi, przybiegał do sklepiku, prosząc o zaliczkę na kontrakt z kapitanem, który go znów zabierał na morze.

Często pożyczka taka przepadała bezpowrotnie—biorący ją bowiem nie wracał nigdy do kraju. Inne zato szalone przynosiły zyski.

Taki to właśnie układ przyjdzie nam opowiedzieć poniżej. „Przyjacielska“ bowiem pieniężna usługa stała się w nim przyczyną tragedyi, stanowiącej osnowę niniejszej książki,—tragedyi, której wynik, rozważany z przeróżnych punktów zapatrywania, zawsze nadzwyczajnym i niepojętym zostanie.

Dość późno pewnego wieczora, Maurizio Modena, siedząc za kontuarem swego sklepiku, czytał przy niepewnym naftowym płomieniu, którego jasność zmniejszała się, lub zwiększała, w miarę wiatru, wpadającego swobodnie przez drzwi otwarte. Uliczka dziwnie dziś była hałaśliwą. Biegająca, ciężkie stąpania, zmieszane głosy rozlegały się ciągle, przerywane często klątwą, wybiegłą z ust mężczyzny, lub ostrym okrzykiem niewieści.

Przyzwyczajony oddawna do tego gwaru, Włoch nie przerywał zajęcia, zatopiony cały w starej księdze łacińskiej; tłumaczącej mu obszernie własności i możliwy użytek niektórych roślin. Przedmiot zajmował go do tego stopnia, iż nie spostrzegł nawet gościa, który ukazał się na progu. Podnosząc dopiero po chwili oczy, ujrzał przed sobą młodego człowieka, o mocno ogorzałej twarzy, ubranego w kaftan marynarski, szerokie spodnie i długie, do kolan sięgające buty.

— Dobry wieczór, kolego! — przemówił majtek z przyjaznem skinieniem głowy.

— Dobry wieczór, signor! — odparł Modena, zamykając książkę spokojnie.

I, nie patrząc prawie na przybyłego, jednym byстрыm rzutem oka objął całą jego powierzchowność, notując w pamięci każdy najdrobniejszy jej szczegół. Widział twarz młodą, przystojną, lecz rozstrojoną hulankami długich dni i nocy. Spo-

strzegł, iż jasne wąsy i broda poszarpane są i zwichrzone, że włosów nie okrywał kapelusz, a wydatne usta rozcięte były i napuchłe od niedawno snuć otrzymanego policzka. Na szyi i piersiach, głęboko przez bluzę marynarską obnażonych, widniały krwawe ślady, kobiecych zapewne paznokci; niedbałe zaś, chwiejne ruchy i wyraz obrzękłych rysów zdradzały aż nazbyt wyraźnie stan podniecony, pijaństwem spowodowany.

Przy pierwszych już słowach przybyły bezwiednym ruchem prawie oparł drżące palce na długim nożu żeglarskim, za pas skórzany założonym.

Modena, powstawszy, czekał spokojnie, śledząc zachowanie młodego majtka przez nawpół przytknięte długie rzęsy.

— Słuchaj, kolego—mówił przybyły z nerwowem skrzywieniem, które miało minę junacką zastąpić,—po co tu próżno tracić słowa i rzeczy obwijać w bawełnę! Potrzebuję trochę pieniędzy i dostać je muszę. Odplywamy za tydzień dopiero, a mam już tylko płótno w kieszeniach. Rozumiesz, przyjacielu?

Włoch uśmiechnął się pobłaźliwie.

— Ach, wyjeżdżasz na morze... *Allro!* A znalazłeś już okręt?

— Ma się rozumieć!—brzmiała harda odpowiedź.—Popłynę na *Matomorze*, którą wyładowują

właśnie; wraca ona z nowym zapasem do Brazylii. Jestem Filip Barton ze Sandford'u, a oto mój nowy kontrakt z kapitanem statku i dowody legitymacyjne z domu.

Wyciągnął papiery z kieszeni, rzucając je na stół niedbale. Modena podjął je, i przejrawszy starannie przy lampie, zwrócił właścicielowi.

— Przepraszam—zauważył równocześnie ze zwykłym swym spokojem,—nie rozumiem jednak dobrze, o co wam właściwie chodzi?

— Tylko bez udawań, przyjacielu! — wybuchnął marynarz, opuszczając z wściekłością pięść zaciśniętą na deskę kantoru. Bez udawań, bo wiesz równie dobrze jak ja, po co tu przyszedłem! Za kogóż mnie bierzesz? Za głupca, co? Cóż to, czy nie wiem, że poratowałeś Wilusia Sommers, gdy był ostatnim razem w porcie, i że nie żądałeś nic wzamian, prócz papierów okrętowych i jego podpisu?

— On zaś wzamian nigdy nie wrócił do kraju—odparł Modena, wzruszając ramionami.— Piękna zapłata, niema co mówić!

— Zmiotło go z pokładu — przyznał majtek, kiwając głową.

— I ja zato mam tracić pieniądze. *Altro!*

Widząc jednak, iż chłopak nie rusza się z miejsca, dodał:

— Chodź do stancyi. Pogadamy; może się da co zrobić.

Mówiąc to, zwrócił się do izdebki, leżącej za sklepem. Była to istna ciemna nora, oświetlona wiszącą lampką okrętową. Prócz ubogiego łóżka, nie było tu nic zgoła. Morskie płody tylko i szczątki towarów z rozbitych okrętów, przez fale wyrzucone, piętrzyły się po wszystkich kątach. Nad komi-nem jedynie widniały podejrzane, brudne butelki z łacińskimi napisami i kilka pozódkłych, przez robaki stoczonych książek.

Majtek, przestąpiwszy próg tej dziury, zamknął drzwi, podparł je plecami i stał, przyglądając się bacznie ścianom izdebki. Rysy jego dziwny jakiś przybrały wyraz, oczy zaś biegały wokoło, szukając zapewne owej skrzyni, w której Włoch, według ogólnego mniemania, skarby swe gromadził.

— Potrzebujesz pieniędzy?—pytał Modena.—
A na co, jeżeli wolno wiedzieć? Prawda, zgadnąć nietrudno: chcesz je roztrwonić na wódkę i dziewczęta! Wiem, wiem... Wszyscy to samo robicie: wszystkim wam pilno do grosza, a później...

Wzruszył ramionami, i zdjawszy z kominka stare pudełko od tytoniu, otworzył je zwolna. Wewnątrz błysnęło kilka sztuk złotych, ze srebrną zdawkową monetą pomieszanych.

Oczy młodego marynarza zaiskrzyły się chciwością.

— Ile ci potrzeba?—zapytał Modena, mierząc go okiem, badawczem, świdrującem, pomimo rzęs spuszczonech.

— Dwie szczypty.

— Szczypty? Co to znaczy? Ach, wiem: dwa funty! A czy słyszałeś o procencie?

— Pewno!—zaśmiał się z pijaną bezmyślnością.— Alboż sądzisz, że mam z pierwszym takim, jak ty, ptaszkiem do czynienia?

Modena postawił pudełko na dawne miejsce, a wyszukawszy w ciemnym kącie pokoju buteleczkę z atramentem, pióro i pół arkusza brudnego papieru, wypisał na nim zwykłą, przyjętą u siebie formę pieniężnego zobowiązania.

— A teraz twoje nazwisko tutaj, w tem miejscu — mówił, wskazując punkt rzeczony długim, jakby z wosku wyrobionym palcem.

Majtek chwycił pióro z takim rozmachem, jak gdyby ono było długą i ciężką tyką, a nagryzmoliwszy niezdarny hieroglif, odsunął papier wzgardliwie. Mógł to być cyrograf, mocą którego zaprzedawał własną duszę i ciało, a jeszcze o treść jego nie byłby się w danej chwili zatroszczył.

Modena, wyjąwszy z pudełka dwa złote pieniądze, podał mu je w milczeniu.

Chłopak podrzucił je na dłoni z tryumfem pijanego.

— Chodź, kolego, umaczasz dziób także—
mówił, znalazłszy się napowrót w sklepiku.—Co,
nie chcesz?

I nie czekając odpowiedzi, nie zważając nawet na wymowne wzruszenie ramion ze strony Włocha, postąpił parę kroków naprzód, a przyłożywszy dłonie do ust, huknął z siłą całych, tak, że aż ściany zadrżały:

— Kasia! Hop, hop!

Kobieta, przebiegająca przed chwilą obok drzwi otwartych, zatrzymała się żywo i, zawracając, stanęła u progu. Światło z lampy, przy której Modena czytał przedtem, padało jasno na rysy jej i postać całą, odcinając ją ostrym konturem od ciemności, zalegających ulicę.

Wysmukła, silnie zbudowana, o czarnych brwiach i oczach, stała w postawie pełnej swobody oraz wdzięku fizycznego, jaki tylko ruch i przebywanie na świeżem powietrzu nadać kobiecie może. Należała ona widocznie do tej samej klasy, co i pijany jej przyjaciel. Wskazywały to rysy, opalenizną pokryte, od wichru morskiego ogorzałe, a jednak uderzająco i niezwykle piękne. Cechował je przytem wyraz wrodzonej dystynkcyi, tak obcy równie przystojnemu, lecz zezwierzęconemu obliczu marynarza.

— Doskonale poszło! — wołał Barton tymczasem.—Kłamstwo wszystko, co mówili! Właśnie, że dostałem pieniędzy!

A zwracając się do Włocha, dodał:

— Co tam! chodź z Kasią i ze mną na półkwaterek.

Modena, z oczami utkwionemi w dziewczynę, wstrząsnął tylko przecząco głową.

Rozochocony majtek nie dał się jednak zbić z tropu.

— Nie chcesz? A ja ci mówię, że interes nieoblany nigdy szczęścia nie przynosi! Więc, kiedy ty nie myślisz iść do wódki, wódka musi przyjść do ciebie. Słuchajno, Kitty, leć pod Smoka i kup nam czego porządnego.

— A cóż to, będę biegać może za twemi posyłkami? Dobre sobie! Ciekawa jestem, dlaczego mam być na wyskoki?

— Dlaczego?—powtórzył Barton.—Dlaczego?

I zdawało się, iż wybuchnie nie tylko brutalnym słowem, lecz czynem. Usposobienie jego wszakże naglej uległo zmianie.

— Dlatego—tłumaczył miękko,—że ty jesteś dobra dziewczyna i że ja cię proszę. No, lećże prędzej!

Wcisnął w jej dłoń pieniądz złoty, ostatnie tem zwyciężając skrupuły. Po krótkim też wahanu pobięła spełnić jego żądanie.

— Cóż, jakżeż ci się gołąbka podoba?—pytał Barton; a nie otrzymując żadnej od Modeny odpowiedzi, zaczął sobie skracać chwile czekania za

dziewczyną, nucąc jakąś żeglarską piosenkę, opiewającą wdzięki innej Kasi.

Pochwyciwszy zaś z rąk jej, gdy wróciła, butelkę z rumem, zwrócił się ponownie do gospodarza:

— Pięknie się znasz na grzeczności, ty chudy głodomorze! Ja go częstuję porządnym trunkiem, on zaś nie da nawet na czem nóg wyciągnąć.

Przyzwyczajony do ekscentrycznego zachowania swych gości, Modena poprowadził ich do stacyjki, za sklepem położonej, przyczem we drzwiach cofnął się, ustępując im pierwszeństwa, ze zwykłą, wrodzoną sobie uprzejmością.

Barton wszedł, potykając się, i z butelką przy ustach usiadł bez ceremonii na łóżku. Kitty, zaproszona grzecznym ruchem Modeny, zajęła jedyne znajdujące się tu krzesło, Włoch zaś stanął w milczeniu z boku.

— Pociągnij, moja mała! — zachęcał Barton, nachylając ku niej butelkę.

Wstrząsnęła głową i ze skrzywieniem, wyrażającym odrazę, posunęła arak Modenie.

— Co za udawanie! — śmiał się majtek. — Myślałby kto, że nie zna smaku rumu, a tymczasem... ho, ho! umie ona dotrzymać kolejki lepiej, niż niejeden z nas. Bo to raz z nóg mnie zbiła! Co, czy chcesz oczarować tego starego grzyba? Ehe, nie da on się złapać, nie da! A może arak dla ciebie niedosyć dobry, ty?

Zaśmiał się z szyderstwem pijaka i, powstawszy, wyrwał butelkę z rąk Włocha, podając ją nanowo Kasi.

— Pij, szelmo, kiedy ci każe!

Ruchy jego stawały się tak groźne, iż Modena stanął między nimi i odepchnął go żywo od dziewczyny. Dotknięcie nie było silnem, a jednak przeżyło równowagę pijaka—Barton też upadł nawznak na łożko. Szarpał się jeszcze, chcąc powstać, lecz, siny z wysiłku, poprzestał w końcu na wygodnej swej pozie, popadając w stan nowego rozczulenia.

Oświadczył więc z rozrzewnieniem, iż Modena jest jedynym jego przyjacielem na świecie, a w trzydzieści sekund później wyzwiał go do walki na pięście. Gdy jednak propozycja ta została w milczeniu odrzuconą, wypił ponownie na hańbę wszystkim tchórzom i podłym handlarzom, a stając się z kolei romansowym, zawołał Kitty, aby usiadła mu na kolanach.

Gdy i to zaproszenie nie spotkało się z przychylną odpowiedzią, Barton szukał znów pociechy w butelce, aż wreszcie wśród niezrozumiałego mrużenia, klątw, śmiechu i wymyślań, zasnął ciężkim snem pijaka.

— Drzemka dobrze mu posłuży — odezwał się Modena do dziewczyny, czując nieprzepartą

chęć posłyszenia jej głosu. — Panna go znasz? Może... może twój przyjaciel?

— Krewny mój—objaśniła Kitty.—Odjeżdża, biedak, w przyszłym tygodniu.

— Czy panienka tu mieszka?—pytał jeszcze Modena.

— Nie. Mamy domek o trzy mile stąd. Na prawo, w Morton, pan zna tę miejscowość?

— Morton? A jakże, znam. Byłem tam nawet ostatniej niedzieli. Śliczna wioska.

— E, nudna—zaprzeczyła, wzruszając ramionami.—Wolałabym, co prawda, być w mieście. Tu wie człowiek przynajmniej, że żyje. Jest na co popatrzeć... Tyle okrętów, tylu marynarzy, a co ludzi na ulicach!... Jak u pana zabawnie—dodała, rozglądając się dokoła. — Dawno pan ten pokój zajmuje?

— Od roku.

— Ale pan nie jest Anglikiem?

— Nie, przybyłem tu z Napoli... z Neapolu, jak wy nazywacie.

— Neapol—powtórzyła zdumiona.—Neapol? Gdzie to jest? Może we Francyi?

— Nie, we Włoszech. I ty, signorina, nie masz takiej miny... jakby to powiedzieć?... i ty nie wyglądasz na tutejszą dziewczynę. Moznaby cię prędzej wziąć za Włoszkę także.

— A czy Włoszki są ładne?

Rzuciła pytanie to z minką zalotną, odsłaniając równocześnie w ponętym uśmiechu dwa rzędy białych jak perły ząbków.

— *Altro!* — powtórzył Modena zwykły swój okrzyk, z równie żartobliwym, a tak wesołym uśmiechem, iż rozpromienione rysy jego zmieniły się, wewnętrznem jakimś bijąc światłem.

— A więc zechcesz pan pewno powrócić tam coprędzej? — pytała z tym samym, nęcącym na koralowych ustach wyrazem.

— Nie — zaprzeczył. — Po co miałbym wracać? Dobierając zaś starannie słów aby wybrnąć z dłuższego zdania angielskiego, dodał:

— Włochy nie są jedynym krajem, w którym można znaleźć piękne kobiety.

Wypowiedziane to było z tym wdziękiem subtelnym a wrodzonym, jakim Opatrzność obdarzyła południowców tylko, bez względu na stanowisko ich i stopień wykształcenia. Dar to, wyróżniający ich korzystnie wobec prostactwa uboższej ludności innych narodów. Modena zresztą nawet wśród Włochów byłby wytwornością swą uderzał.

Dziewczyna zaczęła go też znajdować bardzo miłym i przystojnym mężczyzną.

— Więc panienka stale mieszka w Morton? — podjął napowrót urwaną nić rozmowy.

— A tak... w tym domku zaraz za kościołem. Wie pan, tam, gdzie to sterczy zaryty w piasek kadłub takiej wielkiej łodzi.

Udzielała objaśnień, jako bardzo naturalnych, z najniewinniejszą miną w świecie.

— No, ale już późno, czas mi wracać do domu—mówiła głośno; wskazując zaś na chrapiącego Filipa Barton, dodała sposobem zapytania:

— Co tu z nim zrobić?

— Nic, zostawić go. Sen go wytrzeźwi; sam się później obudzi i pójdzie.

— Dobranoc! — wyrzekła i po rozmyślnem lekkim wahaniu wyciągnęła rękę do Włocha.

Modena ujął ją, a pochylając się, szybko złożył na niej pocałunek. Dziewczyna dłoń wyrwała—zaśmiawszy się zaś wesoło, ze sklepu wybiegła. Postąpił ku drzwiom i, jakby przykuty do progu, patrzył długo wgłąb ciemnej ulicy, gdzie wśród hałaśliwego tłumu zniknęła wysmukła, zręczna jej postać.

ROZDZIAŁ III.

W dwa miesiące później, w samym środku bardzo upalnego lata, Maurizio Modena, wyszedłszy raz wczesnym rankiem ze sklepu, zamknął go starannie i po wypróbowaniu drzwi i okiennic schował

klucz do kieszeni, szybkim oddalając się krokiem. Była to niedziela, a uroczysta cisza świąteczna nawet ruchliwemu portowemu mrowisku nadała cechy spokoju. Dzieci brudne, nieumyte, nieuczesane, ale szczęśliwe, bawiły się pod okiem matek, które, od cięższej uwolnione pracy, z pośpiechem lżejsze wykonywały zajęcia. Ludność zbyt była ubogą, aby świętować zupełnie. Jedne też kobiety naprawiały sieci, drugie robiły pończochy, inne jeszcze skrobały jarzyny na obiad dla męża i dzieci.

Cały ten świątek niewieści, spełniając nieodzowne zajęcia, uwijał się na progu domów, — podczas gdy mężczyźni, wyciągnięci na przyźbie, lub oparci o ścianę, z fajką w ustach, używali wywczasu, albo też, chodząc grupami po ulicy, wiedli wspólne narady i rozmowy. Połowa ich kłaniała się przechodzącemu Włochowi, lub uprzejmem witała go słowem. Ubrany był jaskrawo — w zakiet pawiego koloru ze złotymi guzikami, w świeże spodnie z płótna zagłowego i niebieską flanelową koszulę, na której odbijał szeroki, szkarłatny krawat. Starannie odczyszczony, niebywałej wysokości kapelusz dopełniał stroju. Fordmouth nie było skłonne do głupiej krytyki na punkcie drobnych szczegółów sztuki krawieckiej; ubiór też Modeny wydawał mu się bardzo pięknym, a prostoduszny na niektórych punktach Maurizio zupełnie tego samego był zdania. Ponieważ zaś nie słyszał on

dotąd z elegancyi, nagle więc staranie około własnej osoby dało powód do licznych uwag i domysłów. Przyczyna zmiany tej dość była jasną, chodziło jednak o sprawdzenie, która to z okolicznych piękności zamieniła nędznie ubranego cudzoziemskiego pustelnika w wytwornisia, zwracającego oczy wszystkich na siebie.

Dziwnem było, zaiste, iż przekształcenie w powierzchowności Modeny dotyczyło stroju tylko. Wyraz oblicza jego nie zmienił się bynajmniej, przeciwnie—był on równie poważnym, równie ponurym, jak przed dwoma miesiącami, zanim czarowne zjawisko, Katarzyną Merrick zwane, zajaśniało na posępnym widnokregu brudnej uliczki, którą Włoch zamieszkiwał.

Wielkie czarne jego oczy smutniejsze jeszcze były, niż dawniej; szczupłe, wychudłe policzki ta sama woskowa pokrywała bladość; uśmiech zaś, jakim odpowiadał na powitania sąsiadów, zdawał się być mechanicznym wysiłkiem mięśni tylko. Dążył szybko, z pośpiechem nerwowym nieledwie, a wskazującym jasno, iż pilno mu było wydostać się poza mury miasteczka, unikając tem samem ciekawych spojrzeń, które widział i czuł dokoła siebie.

— Wygląda, jak gdyby szedł na pogrzeb dziewczyny, a nie w zaloty do niej—zauważył jeden stary marynarz, przybrany w jaskrawy strój rybacki.

— Może pogrzeb byłby lepszym dla niego—
odparła jedna z kobiet.

— To zbyt surowe słowo, moja pani—bronit
starzec.—A cóż macie dziewczynie tej do zarzuce-
nia? Przystojna, silna, zdrowa...

— Oho, niby to siła i przystojność wszystko
już stanowią—upierała się rybaczka, którą Opa-
trznosc wyposażyła hojniej w pierwszy, niż w dru-
gi przymiot.—Gdybym ja była mężczyzną, pewno
nie wybrałabym żony, zadającej się z takimi niepo-
niami, jak ten pijaczyna, który popłynął świezo
do Brazylii, lub jak godni jego towarzysze i przy-
jaciele.

— Nie widzę, aby Filip Barton miał być gor-
szym od innych. Lubi trochę zanadto kieliszek,
i oto wszystko. Zresztą, moja jejmość, przecież to
jej krewniak.

— Et! — wzruszyła kobieta ramionami.

— Barton i tak jest daleko... hen, hen, na
morzu — ciągnął prostoduszny rybak. — Każda
zaś minuta coraz go bardziej od swoich od-
suwa.

— Im dalej, tem lepiej — mruknęła. — Za-
wsze wrócić kiedyś musi.

— Ho, ho, Kitty tymczasem dawno będzie po
ślubie—zapewnił starzec, który był dziś widocznie
w optymistycznym i pełnym złudzeń usposobieniu.

— Daj Boże, aby zmądrzała przedtem i zmieniła sposób postępowania—dowodziła z uporem rybaczka.—Ludzie powiadają, iż lepiej potykać się idąc do kościoła, niż wyszedłszy z niego.

Krótką ta rozmowa była echem tylko tuzina innych rozpraw, toczonych między sąsiadami Modeny w każdy niedzielny poranek, gdy Włoch przesuwiał się między nimi, dążąc poza mury małego portowego miasteczka. Człowiek mniej od niego milczący i w sobie zamknięty byłby z pewnością posłyszał cokolwiek o opinii, jaką przyszła jego żona cieszyła się w okolicy; byłby wiedział, iż sąsiedzi stawiali nader smutne wróżby dla ich małżeńskiego pożycia. Być może jednak, iż świadomość ta nawet nie zdołałaby odwieść go od raz powziętego postanowienia,—że, nie cofając się ani o włos z drogi obranej, usiłowałby tylko szukać zemsty na oszczercach kobiety, przez siebie ukochanej.

Szybki też krok jego, pośpiech w opuszczaniu miasteczka i widoczne unikanie sąsiadów, nie miały bynajmniej znaczenia, jakie oni szczegółom tym przypisywali. Gdyby Modena znał zarzuty, czynione Katarzynie, gdyby mu podejrzenia te obcemi nie były, odczułby je z pewnością nader silnie. Ani wszakże nie wiedział, ani nie pragnął nawet wiedzieć, co ktokolwiek pod słońcem myśli o nich obojgu. Powściągliwy z natury i zamknięty w sobie, nauczył on się przez długie lata samotności

ograniczać obcowanie z ludźmi do takich jedynie stosunków, które mu zysk pieniężny przynieść mogły. Lękał się przytem uwag i żartów, jakie nie tylko w Fordmouth, lecz wszędzie, zalotnik, idący w konkury, ściąga zwykle na siebie. Miłość jego była uczuciem zbyt osobistem, zbyt świętem, aby się wdawał w czeze gawędy o niej z plotkarskimi sąsiadami, aby ją rzucał na pastwę ludzi, z którymi nie miał wspólnego, choć go okoliczności do życia wpośród nich zmusiły.

Minał zatokę, strojną w statki i łodzie, bujające się na lekko poruszanych falach, i, obojętny na ciemne ich sylwetki, tak wyraźne na błyszczącym zwierciadle wody, skierował się przez wielką ławę piaszczystą w stronę, gdzie wysmukła wieżyczka kościelna królowała nad wioską Morton. Szedł wybrzeżem, by, nadłożywszy kawał drogi, opuścić domki wiejskie i znaleźć się odrazu u celu podróży. Ów kadłub wielkiej łodzi, zaryty w piasek, a wskazany niegdyś przez Kitty, służył mu przed dwoma miesiącami za drogowskaz przy pierwszej wizycie. Odtąd jednak ścieżkę tę znał już na pamięć.

Domek Kasi stał tuż prawie za kościołem, na linii owej ławy piaszczystej, a zdala od innych chat, na drugim stoku wzgórza wzniesionych. Modena skierował się prosto do świątyni i tu przy wejściu ujrzał zaraz Kitty. Stała obok ławki dę-

bowej, zajętej przez matkę jej, kobietę lat podeszłych, która, nawet tutaj, kule, pomagające jej do chodzenia, w rękę trzymała.

Kasia, biało ubrana, musiała, choćby dla mniej zakochanych oczu, nader wydać się piękną. Z ust też Modeny wybiegł mimowolny okrzyk podziwu, podczas gdy źrenice jego gorącem błysnęły uczuciem. Wobec naiwnego tego a nieukrywanego zachwytu dziewczyna zapłonęła się żywo, a przyjmując pocałunek narzeczonego, odsunęła go równocześnie, wskazawszy spojrzeniem na kościół, do którego wierni zaczęli się już schodzić potrosze.

Włoch pocałował z kolei matkę jej, w sposób mniej może tkliwy, lecz szczerym szacunkiem nacechowany; ujawszy zaś kule jej, poprowadził sam staruszkę przez nawę kościelną aż do stopni ołtarza. W chwilę później na progu zakrystyi ukazał się duchowny, ze zwykłym swym pomocnikiem; w dziesięć zaś minut potem Maurizio Modena i Katarzyna Merrick dozgonnym już byli związani ślubem.

Z kościoła przeszli do dworku Kasi w milczeniu, przerywanem tylko głośnem łkaniem staruszki. Płacz ten drażnił i wzruszał pana młodego. Rzucił on też porozumiewawcze a pełne współczucia spojrzenia ku młodej swej małżonce, która zdawała się na łzy matki żadnej nie zwracać uwagi. Gdy miss Merrick znalazła się wreszcie w zwykłym

swem krześle o wysokich poręczach, a Kitty poszła zdjąć szaty ślubne, Włoch spróbował pocieszać teściową.

— *Mia madre*, wszak my odjeżdżamy na dwa dni tylko. Gdy zaś wrócimy do Fordmouth, Kasia będzie cię mogła odwiedzać tak często, jak sama zechcesz.

Mówił już o wiele bieglej po angielsku, choć wciąż jeszcze z silnie zaznaczonym cudzoziemskim akcentem.

— Nie zostajesz przytem samą — ciągnął dalej. — Rozmówiłem się z tą małą dziewczynką; przybędzie tu jeszcze dzisiaj i ma później przychodzić codziennie. Podjęła się prac, gotować, sprzątać, a ja już nagrodzę ją za to.

— Bóg zapłać — podziękowała staruszka, która zdawała się być z natury dość pogodnego usposobienia. — Ja nie tego płakałam, mój chłopcze. Wiem dobrze, że Kitty nie byle jakiego dostała męża, choć idzie za cudzoziemca. Kupiłeś jej przecież taką piękną suknię ślubną, mnie też niezgorszą i czepek porządny, niczego, a przytem przysłałeś nawet kaczkę na obiad i obiecujesz płacić służącą, która będzie waszę starą matkę doglądać. Wiem to wszystko, ale, Boże święty, ja tam muszę zawsze płakać na weselu; to już taki zwyczaj. Gdy zaś patrzy się na ślub własnej córki, to trudno co-prawda łzy powstrzymać.

— U nas, we Włoszech, przeciwnie. Gdy się kto żeni, tańczujemy, śpiewamy i radujemy się, jak wy tu mówicie, by zadowolenie okazać.

— No, patrzcie, ludzie! a ja myślałam, że to zawsze trochę pogański naród — przerwała stara Merrick'owa. — Ale niema co mówić, z ciebie dobry człowiek i pewno potrafisz zaopiekować się nią jak należy. Biedactwo moje, dawno jej tego potrzeba. Ojca straciło to wcześniej, a ja... co tam! ja nie jestem stosowną podporą dla młodej dziewczyny. Zawsze chciała mieszkać w mieście, zawsze za niem tęskniła, lecz ja na te hulanki po ulicach niechętnie patrzyłam. Dzięki Bogu, że się to dobrze skończyło, skoro męża tam znalazła. Tylko pamiętaj, nie pozwalaj jej własną rządzić się wolą. To zły zwyczaj dla młodych mężatek, a szczególnie dla tak ładnych jak Kitty. Jest już ona dosyć zepsuta tem, że się każdy za nią ogląda, co powód tylko do gawęd daje.

— Cicho, bo nadchodzi — przerwał Modena.

Na progu stanęła Kitty, w stroju nowym, a świadczącym wyraźnie o wspaniałomyślności pana młodego. Nie brakło tu nawet złotowych kolczyków i naszyjnika. Maurizio powstał, czarne zaś jego oczy straciły zwykły swój blask przenikliwy, śledząc z jakimś smętnem rozpromieniem każdy ruch pięknej kobiety, która nań tak silny czar rzuciła.

ROZDZIAŁ IV.

I znów cztery minęły miesiące. Małżeństwo Włocha z Katarzyną Merrick, poruszywszy na razie wszystkich mieszkańców miasteczka, oraz wywoławszy niezliczony szereg uwag wśród kumoszek i zwykłych klientów sklepiku, przebrzmiało nareszcie, nie zajmując nadal ich uwagi. Nawet Kitty oswoiła się już z nowym swym stanowiskiem, zapomniawszy o romantycznych mrzonkach młodzieńczych, jakie wiązała może niegdyś z tak ważnym w życiu zdarzeniem.

Istnieje stare przysłowie, dowodzące, iż w sprawach sercowych jedna strona kocha zazwyczaj, druga zaś pozwala się tylko kochać. Czy słowa te sprawdzają się wszędzie, nie przesądzam, — tu jednak słuszności ich trudno było zaprzeczyć. Dla Modeny żona była bóstwem nieledwie. Pochłonęła ona do tego stopnia wszystkie uczucia Włocha, iż ponad nią nie miał innej myśli i troski innej. Nawet książki, ta jedyna dotychczasowa nagroda samotnego i ubogiego jego życia, zapomniane teraz zostały. Uczucie, które przy pierwszym spojrzeniu, przy pierwszym dotknięciu jej ręki, wybuchnęło z taką siłą, zamieniło się we wszystko pochłaniającą namiętność, którą czas, zamiast zobojetniać, podniecał z chwilą każdą. Jeżeli też być kochaną jest — według wyrażenia poetów — szczytem zadowolenia dla

kobiety, to Kitty mogła być najszcześniejszą istotą w Anglii całej.

Słowo jej było prawem, najłżejsze życzenie rozkazem, któremu sprzeciwić się mąż nie zamierzyłby nawet. Świadomość władzy tej nieobcą była młodej kobiecie—znała ją już przed ślubem; obecnie zaś, widząc, iż uwielbienie jego wzrasta z dniem każdym, przyjmowała je tak, jak się przyjmuje uczucie psa wiernego, a nazbyt naprzykrzającego się.

Pies ten jednak posiadał sporą dozę temperamentu i charakteru. Umiał też przy stosownych okolicznościach pokazać zęby pani swej nawet, można go było drażnić do pewnego punktu tylko. Kitty dowiedziała się też wcześniej po zamążpójściu, iż nie należało miłości jego małżeńskiej nazbyt silną narażać próbę bez ściągnięcia na siebie strasznych skutków mężowskiego gniewu.

W pobliżu domu ich znajdował się zakład, pół szynk, pół sala muzyczna, której pracująca ludność Fordmouth'u zawdzięczała jedyne swe pojęcie o sztuce lirycznej i aktorskiej. Noga Modeny nigdy tu przed ślubem nie postąpiła. Wrodzona trzeźwość i wstrzemięźliwość nie pozwalały mu w knajpie pijackiej żadnej znajdować przyjemności. Wychowanie zaś i właściwa Włochom muzykalność o tyle smak jego wykształciły pod tym względem, iż dziesięciorzędni piskliwi śpiewacy,

naśladujący owych *lions comiques* stolicy, razili go tem więcej, gdy ostre ich głosy przytłumiał brzęk szklanek i gwar poliglotyczny przeróżnych języków, zapełniający noc po nocy budę tę tanią a ja-skrawą.

Dla ograniczonej jednak, nieumiejącej nawet czytać dziewczyny miejsce podobne niepospolity posiadało urok. Odwiedzała je też niejednokrotnie z Filipem Barton i innymi wielbicielami. Modena, nie mogąc się oprzeć prośbom żony, zaprowadził ją tam również w pierwszym zaraz tygodniu po ślubie. Wpółśród dziwnych, krzyżąc postrojonych kobiet, jakie zebrane tu były, Katarzyna królowała z łatwością. Suknia nawet, która na kim innym byłaby się wydała Modenie pospolitą i prostacką, złączona z pięknnością Kitty czarowała go nieledwie, ogólne dokoła wywołując wrażenie.

Niewybredne kadzidło, zbierane wśród szepków i spojrzeń sąsiadów, upajało kobietę. Wtem na progu ukazał się młody człowiek, marynarz ze stojącego na kotwicy okrętu; zlustrowawszy zaś salę i spostrzegłszy puste miejsce przy stole, zajmowanym przez Maurizia, przybliżył się szybko, przywłaszczając je sobie. Śmiałość jednak łączyła się u niego ze zwykłą galanterią żeglarzy; nie tracąc też czasu, rozpoczął zaraz dłuższą rozmowę z piękną swą sąsiadką.

Jak daleko sięgała własna jego czelność, a ile należało złożyć na zachętę ze strony Kitty, która na ładnego chłopca nieobojętnem patrzyła okiem, trudno byłoby ocenić. Dość, że nieznamy, w kwadrans po zawarciu znajomości, tak daleko posunął swą śmiałość, iż Modena o mały włos go nie udusił. Był to pierwszy wybuch zazdrości, objawiony wobec Kitty.

Starając się o nią, nie posiadał żadnego współzawodnika, w słowach zaś był tak łagodny i potulny, iż ten nagły objaw płomiennej, morderczej namiętności przeraził ją na razie.

Pomimo tego, powróciwszy do domu, spróbowała skarcić go stosownie. Rozpoczęła też z miną wyniosłą gorzkie czynić wyrzuty. Jeżeli bowiem myśli zabijać każdego mężczyznę, który grzeczniej spojrzy na nią, no, to niema co mówić, rozkoszne gotuje jej życie!

— Przeszło już i skończyło się — przerwał Modena.—Nie mówmy więc o tem. Twoja rzecz, aby się zajście podobne na przyszłość nigdy więcej nie powtórzyło.

— Aby się nie powtórzyło? A jakżeż ja temu zaradzę? Czy sądzisz, że mogłam mu rozkazać, aby na mnie nie patrzył? Myślisz może, że on jeden ma oczy, że on jeden piękną mnie znajduje? Ach, ty stary dzieciaku!...

Chciała zarzucić ręce na szyję męża, lecz on ją odtrącił szorstko.

— Upoważniłaś go do poufałości, zachęcałaś!—wołał.—Nie jestem przecież ślepy! Widziałem to doskonale.

Obrażona, wybuchnęła głośnymi zaprzeczeniami. Modena wszakże uciszył ją jednym wściekłym uderzeniem pięści w stół.

— Idź spać! Do łóżka! Zostaw mnie samego, pozwól zapanować nad sobą.

Błyszczące oczy i gniewem wykrzywiona twarz męża przeraziły ją. Po raz pierwszy poczuła szacunek dla niego. Niestety jednak, był on krótkotrwałym.

W godzinę później Modena klęczał, łkając, u stóp jej i błagał ze łzami przebaczenia. Tylko brutal, nudziarz, osieł, muł, taki, jak on, nieokrzesany niedźwiedź, mógł postąpić w sposób równie niewłaściwy. Anioł też jedynie, do niej podobny, zdołałby przebaczyć zniewagę tego rodzaju.

Przebaczyła więc... Dziwne to, doprawdy, ile kobiety darować czasem potrafią! Kitty jednak, pomimo skarbów wyrozumienia, nagromadzonych w swej duszy, uznała za właściwe nie drażnić przez czas jakiś męża i—w obecności jego przynajmniej—nie zachęcać innych mężczyzn do hołdów zbyt jawnych.

Czego oczy nie widzą, o to serce nie boli; chociaż więc Katarzyna była najwytrawniejszą zalotnicą, jaką święta ziemia nosiła, Modena nie

o tem nie wiedział, a zaślepiony pozornem przywiązaniem żony nie podejrzewał szczerości jej bynajmniej. Pominąwszy zazdrość, wskutek której sama obecność jakiegokolwiek mężczyzny w towarzystwie Kitty męczarnią się dlań stawała, był on najpobłażliwszym, najmniej wymagającym z mężów. Ponieważ dowodziła głośno, iż nie po to poszła za męża, aby pracować jak wyrobница, że nie zaprzedała się w niewolę, Modena więc dziś, jak przed ślubem, sam spełniał znaczną część obowiązków gospodarczych. Żona bowiem starała się o ile możności jaknajmniej rękę do nich przykładać.

Wzamian wszakże posiadała ona wrodzoną, choć niewyrobioną zdolność do handlu. Zajęcie lekkie, urozmaicone ciąglą zmianą gości i rozmową z nimi, doskonale odpowiadało jej usposobieniu. Gawędziła też uprzejmie z kupującymi, którzy nie spostrzegali się nawet, jak źle na tem wychodzą. Piękna Kitty umiała ich lepiej jeszcze oskubać, niż mąż jej, choć ten ostatni, jako Włoch prawdziwy, lubił zyskownie załatwiać własne interesy.

To upodobanie do handlu i chętne zajęcie się sklepem odpowiadało doskonale usposobieniu Modeny, pozwalając mu oddać się niepodzielnie czytaniu i innym domowym obowiązkom. „Skład towarów marynarskich“ rozwijał się teraz w oczach i rósł tak, jak to zwykle ma miejsce tam, gdzie za

kontuarem stoi piękna a chłodna i wyrachowana kobieta. Modena sam własnemu dziwił się szczęściu. Chcąc też przypodobać się żonie i wynagrodzić ją poniekąd, kazał odświeżyć ich mieszkancko, wymalować je i umyć domek cały. Odtąd lepsza też klasa kupujących zaczęła sklep jego nawiedzać, przynosząc coraz większe zyski właścicielowi.

Życie płynęło więc spokojnym trybem, a zaźdrość Modeny, usypiana złudnemi pozorami szczęścia, przycichła na czas jakiś. Miłość jego do żony wzrastała zato z dniem każdym, jaki wspólnie przeżyli. Istnieją natury, dla których przesytność to najsmutniejsze ze słów na świecie, nie ma żadnego znaczenia. Dla ludzi tych każda godzina, spędzona w towarzystwie ukochanej osoby, silniejszym jaśnieje urokiem,—każda pieszczota, od niej odebrana, stanowi nowy węzeł uczucia, przykuwającego na życie całe. Do natur takich należał Modena właśnie.

Dla osób trzecich, zdolnych do zrozumienia wzajemnego stosunku między Maurycem a jego żoną, do pojęcia tajników ich duszy, przywiązanie to musiało się dziwnem wydawać zaślepieniem. Oprócz bowiem piękności, zimnej i martwej nieco, kobieta ta nie posiadała ani jednego przymiotu, który mógłby przykuć do niej człowieka takiego, jak Modena. Próżna i zakochana w sobie, niby paw bezmyślny, leniwą była nad wyraz wszelki. Gdy-

by nie zamięłowanie do handlu, oparte na tem jedynie, iż mogła przy targowaniu się ciągnąć ozywione gawędy i zbierać plotki miejscowe,—gdyby nie ten sklepik, który Modena posiadał, na szczęście, trudno byłoby zgadnąć, zaiste, do czego taka Kitty mogła być przydatną na świecie. Niezdolną była bowiem do najlżejszego zajęcia domowego. Przygotowanie jakiegokolwiek posiłku, usmażenie kawałka mięsa, przyszyć guzika nawet, przechodziło jej siły.

W życiu swoim nie otworzyła nigdy książki. Niejedno też sześciolatnie dziecko lepiej umiałoby czytać i lepiej rozumiałoby rzecz przesyłabizowaną, niż ona. A jednak istota taka posiadała moc do przekształcenia całego życia rozumnego mężczyzny, do zamienienia nieśmiałego, skąpego i stoniącego od ludzi mizantropa w nadskakującego małżonka, który w zaślepieniu fanatycznego uczucia gotów był oddać całą zawartość owej skrzynki, za kasę ogniotrwałą służącej, wzamian za jeden uśmiech żony. Był to zresztą dramat, rozgrywający się w głębi jego duszy tylko. Modena bowiem, szczęściem swem upojony, stał się napozór spokojniejszym i cichszym jeszcze. Dla świata też wydawał on się zawsze tym samym, chłodnym i zamkniętym w sobie człowiekiem.

Zdarzyło się raz, iż Modena był w porcie, targując rozmaite drobiazgi, przywiezione przez okręt,

który świeżo stanął na kotwicy. Układ pomyślnie ukończonym został, a obie strony, według przyjętego zwyczaju, poszły go zatwierdzić, lub raczej oblać kieliszkiem, na zgodę wypitym.

— Jakże się tam miewa Filip? — zapytał kapitan z jakimś szczególnym uśmiechem.

Modena, w zdumienie wprawiony i zaskoczony znieścacka, nie zauważył na razie złośliwego spojrzenia, jakie słowom tym towarzyszyło.

— Filip? — powtórzył. — O jakim pan Filipie mówisz? Ja nie przypominam sobie żadnego.

— Człowieku, co ty wygadujesz? Mógłżebyś nie znać ciotecznego brata swojej własnej żony?

— Ach! Filip Barton! Zapomniałem o nim co prawda. Tak dawno nie widziałem go zresztą, że niema w tem nic dziwnego. Ileż to, pięć czy sześć już miesięcy, jak popłynął do Brazylii na pokładzie *Matamory*.

— Ależ wrócił oddawna — przerwał kapitan.

— Wróócił? Nie wiedziałem nic o tem.

Marynarz, z jednym okiem złośliwie przymkniętem, drapał palcem chropowatą, nieogoloną swą brodę.

— I *Matamora* przybyła także — objaśnił po chwili. — Wpłynęła do portu przed trzema dniami, bodaj w sobotę jeszcze. Sądziłem, iż Filip odwiedził już dotąd swoją krewną, szczególnie teraz,

w nowym domu... Wszak wszyscy wiedzą, jak bardzo kochali się dawniej—dodał z tym samym dwuznacznym uśmiechem, z jakim rzucał przed chwilą pytanie o Filipie.

— Gdy przyjdzie, będzie nam pożądanym gościem—odparł Modena spokojnie.

Złośliwy uśmiech kapitana nie uszedł już jego uwagi, lecz pozostał dlań istną zagadką. On jeden w całym miasteczku nie wiedział dotąd o przedślubnych stosunkach, jakie łączyły żonę jego z Filipem Barton.

— Nie obawiaj się—szydził kapitan zlekka,— zobaczysz go z pewnością. Filip nie opuści portu bez odwiedzenia swej kuzynki... można z góry liczyć na to.

Zmrok już zapadał, gdy Modena wracał do domu. Na ulicach zapalono gaz oddawna, a w sklepach jasno błyskały lampy. U niego tylko ciemno było zupełnie. Okno z wystawą nie zostało dotąd oświetlone, cały zaś sklepik w ponurej tonął ciemności. Z głębi mieszkania tylko dochodziły głosy stłumione, a czasem słowo jakieś wyraźniejsze lub śmiech przerywały wiedzioną tam ożywioną rozmowę. Jakkolwiek Modena ani jednego nie mógł pochwycić zdania, rozróżniał jednak głos żony, zmieszany z głębokim barytonem mężczyzny.

Płomiennie, snadne do podniecenia uczucie zazdrości zapaliło mu odrazu krew w żyłach, niwe-

cząc spokój pozorny. Zanim też gawędząca para zdołała odgłos kroków jego pochwycić, Maurizio stał na progu mieszkania.

Lampa i tu nie została jeszcze zapaloną, a małe okienko, w tylnej umieszczone ścianie, tak słabe rzucało światło, iż Włoch zdołał odróżnić tylko stojącą tuż obok swej żony barczystą, wysoką postać mężką, której zarysy odcinały się wyraźnie na białym tle wieczoru.

Odskoczyli szybko od siebie na jego widok i przez chwilę w ciasnym tem mieszkaniu słychać było tylko przyspieszony oddech męża, który z zaciśniętymi pięściami stał wciąż na progu.

— Jakżeś ty mnie przestraszył! — zawołała Katarzyna wreszcie. — Patrz, Maurizio, zastałeś właśnie Filipa, który, wróciwszy świeżo z za morza, przyszedł nas odwiedzić.

Długie, stłumione westchnienie wybiegło z piersi Włocha. Zaczepnął on najpierw powietrza, a później przesunął ręką po oczach, jak gdyby chciał zetrzeć mgłę, która je nagle przysłoniła. Otrzeźwiony ruchem tym, ujął wreszcie dłoń gościa, wyciągniętą ku sobie.

— Jak się masz, kolego? — pytał Filip.

— Dziękuję, dobrze. A ty?

I, nie czekając odpowiedzi, dodał:

— Czy dawno wróciłeś?

— Dopiero co. Właśnie wypłacili mi żołądź na okręcie i pędziłem tutaj, aby wykupić moje papiery, zastawione u ciebie. Wtem wchodzę, a tu Kasia stoi za kontuarem. Oniemiałem i nie mogłem oczom własnym uwierzyć. Ona tymczasem zaprosiła mnie do mieszkania, no i siedzimy, gawędząc o dawnych czasach.

Modena podczas słów tych zapaliła lampę pośpiesznie, rzucając przy świetle dopiero badawcze na żonę spojrzenie. Zmieszana była nieco, purpurą pokryta, a warkocz ciężki osunął się z wężła, upiętego na karku. Starła się okazać spokojną, oczy jej wszakże przez ćwierć sekundy tylko zniosły bystry wzrok męża.

— Trzeba pójść zapalić światło w sklepie— zawołała nagle.— Zapomniałam o tem zupełnie, ujrawszy Filipa w sposób tak niespodziany.

I wyszła, pozostawiając ich samych. Podróż zamorska doskonale wpłynęła na powierzchowność młodego człowieka. Rysy jego, od wichrów ogorzale, pociemniały tak, iż na tle cery smagłej wasy białemi się prawie zdawały. Oczy jasne, wyraźne i bystre, ruchy zaś estetyczne i męską siłą nacechowane stanowiły żywy kontrast ze wspomnieniem pijanego, zataczającego się włóczęgi, jakie Modena o nim zachował. Trudno mu też było uwierzyć, iż przystojny ten, ożywiony chłopiec jest tym samym nieponiem, który przed pół-

rokiem przewrócił się tak bezmyślnie i zasnął na jego łóżku.

Maurizio otworzył tymczasem gruby swój pugilares, a wybrawszy z mnóstwa znajdujących się tu dokumentów rewers Filipa, podał mu go w milczeniu. Barton ujął podłużny ten świstek, a zwracając wzamian pieniądze, wekslem fajkę zapalił. Gdy zaś równocześnie Kitty stanęła na progu, zaproponował żywo, by na cześć ich małżeństwa i szczęśliwego jego powrotu wypili razem po kieliszeczku.

Modena wyszukał wśród rupieci butelkę rumu i lampki krążyć zaczęły. Rozmowa się ożywiła; nawet gospodarz, ponury, milezący z początku, zaczął pod wpływem podniecającego płynu rozgrzewać się — i, bardziej wylany, gawędził, śmiał się, z rumieńcem na obliczu, podnoszonym jeszcze przez ruchy rozgrzewane.

Gdy Filip opuszczał swych krewnych, późno już było. Modena, pomimo tego, nie chciał pójść na spoczynek, a tłumacząc żonie, iż woli poczytać jeszcze godzinkę, usiadł z książką przy stoliku ją zaś spać wyprawił.

Zaledwie jednak kroki młodej kobiety ucichły w mieszkaniu, Włoch zerwał się, by chodzić nerwowo wzdłuż i wszerz małego sklepiku.

— Przybił do portu od trzech dni, a okłamuje mnie beczelnie, mówiąc, że dopiero co na ląd

wysiadł. Siedzieli sami, pociemku, przytuleni do siebie. Widziałem, że ją w pół trzymał. Nie mogła mi spojrzeć prosto w oczy. Chybaż więc zwodzi, oszukuje mnie nikiemnie? Muszę się przekonać! Muszę dojść prawdy!

Zagłębił się w przypuszczeniach, w zadumie, która do białego trwała rana. Pierwsze promienie światła, przebijające się przez okno, oprzytomniły go dopiero. Podniósł się i, zgnębiony, odurzony, przeszedł pocichu do sypialni, gdzie Katarzyna, piękniejsza niż kiedykolwiek, w głębokim śnie spoczywała.

ROZDZIAŁ V.

Zazdrość, jak każda z wielkich namiętności, gdy raz zostanie z gruntu poruszoną, umie być wyrachowaną, przebiegłą i zimną, umie wyczekiwać chwili stosownej do spełnienia swych zamiarów. Najbystrzejsze też oko nie byłoby dostrzegło przez kilka dni następnych w zachowaniu Modeny nie takiego, coby zdradzało buntownicze myśli, nurtujące w jego duszy. Zajmował się, jak zwykle, wszystkim, spełniał wszelkie swe obowiązki, obejście zaś jego z żoną najłżejszej nie uległo zmianie.

Filip Barton przychodził ciągle do sklepu, przesiadując tu wszystkie godziny dnia, przez pijatykę w szynkowni niezajęte. Modena witał go uprzejmie, pił z nim nawet, a pewnego wieczoru, wymawiając się niezdrowiem, pozwolił mu iść sam na sam z Kasią do teatru. Sztywny i chłodny z innymi, dla Bartona okazywał się nietylko uprzejmym, lecz nawet serdecznym, przyczem dowodził, iż jemu całe swe szczęście zawdzięcza—bez Filipa bowiem nie byłby nigdy dzisiejszej swej żony poznał.

Wobec tej komedyi przyjaznych uczuć, z rzadkim artyzmem odgrywanej, zarówno wiarołomna żona, jak jej czelny kochanek, nie domyślali się bynajmniej burzy, szarpiącej sercem męża. Filip też, zaślepiony własnem powodzeniem, pozwalał sobie w obecności Modeny nawet na prostackie żarty i przedrwiwania ze zwykłej ślepoty zdradzających małżonków.

Tymczasem, zanim tydzień upłynął, złowrogie podejrzenia Maurizia w pewność się zamieniły. Przelotna bytność u starej Merrick'owej powiadomiła go, iż przykuta do fotelu teściowa od dwóch tygodni nie widziała wcale córki. Modena zbladł. Wszak Kitty trzy lub cztery razy tygodniowo prosiła go o pozwolenie odwiedzenia matki i, otrzymawszy je, znikwała z domu na kilka godzin. Włoch teraz dopiero zrozumiał dwuznaczne spojrzenia

witające go na ulicy, śmiechy i szept, jakie sły-
szał wszędzie za sobą; teraz pojął, iż wstyd jego
i hańba, całemu światu wiadome, stały się przed-
miotem ogólnego pośmiewiska... Wściekłość stra-
szna, tem silniejsza, iż w sobie zamknięta, wstrzą-
snęła jego istotą. Stłumił ją wszakże i niczem na-
zewnątrz nie okazał. Wybuch tej lawy wrzącej
musiał stosownie czekać chwili.

Panowanie nad sobą doszło u Modeny do tego
stopnia, iż z pewną ponurą rozkoszą śledził on
własny spokój, mierząc jego siłę i naprężenie, ja-
kie znieść będzie w stanie.

Równocześnie w głowie jego powstawały
dziesiątki projektów. Chciał żonę i Filipa spro-
wadzić koniecznie razem, a następnie pochwycić
na gorącym uczynku niewiary i zbyt zażyłych sto-
sunków. Żaden jednak pomysł nie wydawał mu
się dość pewnym, w każdym lada drobnostka mo-
gła pokrzyżować najlepiej obmyślane plany.

Przypadek nareszcie podał mu właściwą broń
w rękę.

Kapitan jednego ze stojących dawniej w Ford-
mouth okrętów, potrzebując kiedyś pewnej sumki
pieniędzy, pozostawił mu wzamian za nią swój
zegarek. Dziś, zarzuciwszy kotwicę o kilkadzie-
siąt wiorst dalej, napisał ztamtąd do Modeny, iż
radby chętnie odzyskać chronometr i spłacić mu
należność, dając wzamian za nią stare żelaztwo,

którego sporą ilość przywiózł z sobą. Radził przytem, by Modena przed zawarciem umowy przybył na miejsce i sam towar obejrzał.

Włoch zwrócił się z listem do żony, pytając o radę. Wysłuchawszy, o co idzie, nalegała, by pojechał koniecznie. Wszak chodziło tu o rozłączenie jednego dnia za ledwo.

— Jeden dzień — powtórzył z zagadkowym uśmiechem — to wieczność czasem, *mia bella!*

Udawał ociąganie się, nie przesadzając w niem jednak, aby nie wzbudzić podejrzeń z jej strony, poczem, skłoniony namowami, zgodził się pojechać wreszcie. Żądał tylko, by Katarzyna odwiozła go na stację, przyczem tyle tkliwego znaczenia do tej pierwszej ich rozłąki przywiązywał, iż młoda kobieta najzupełniej w pole wyprowadzoną została.

Modena, pojechawszy tymczasem tak daleko, jak to do planów jego potrzebnem było, przesiadł się na jednej ze stacyj do powrotnego pociągu i przed samym zmrokiem znalazł się znów na przedmieściu Fordmouth'u. Ulice opustoszałe wieczorem ułatwiły mu niespostrzeżony powrót do domu. Noc była jasna, księżycowa, — zakręcając też w uliczkę, na której znajdował się jego sklepik, Modena spostrzegł zdala wyniosłą postać mężką, która ostrożnie, ukradkiem wysunęła się z jego mieszkania i, zamknąwszy za sobą drzwi, krokiem szybkim

— lecz przyciszonym skierowała się w stronę, z której on właśnie nadchodził.

Modena cofnął się szybko w cień, przez załam domu tworzony. Tamten mężczyzna tymczasem, obejrzawszy się na wsze strony i uspokojony, iż uliczka pustą jest zupełnie, zaczął, uszedłszy z pięćdziesiąt kroków, poświstywać wesoło. Włoch przyczał się, — w chwili zaś, gdy Filip Barton przechodził obok, poskoczył, a rzuciwszy się na niego z siłą i zręcznością dzikiego kota, na ziemię go powalił.

Barton wydał okrzyk bólu i przerażenia, uścisk zaś, w jaki równocześnie pochwycił mordercę, powiedział Modenie odrazu, iż cios jego chybił celu, że nie stał się śmiertelnym. Zwinny i muskularny młody człowiek odrzucił go i zerwał się na równe nogi; lecz upojony wściekłością Modena zwinął się w kłęb tylko i z ostrzem noża, błyskającym w promieniach księżyca, a krwią zboczonym, powtórnie spadł na ofiarę.

Uderzenie spotkało się tym razem z gwałtownem odparciem, które mniej silnego i mniej zropaczonego człowieka byłoby z kolei na ziemię powaliło. Modena jednak nie dał się zbić z toru.

Sztylet błysnął ponownie i Barton z jękiem głuchym runął u stóp zabójcy.

Na pierwszy już krzyk jego okna w domach okolicznych, gdzie nie spano dotąd, zaczęły się

otwierać z kolei, a mnóstwo wynędziałych twarzy wychyliło się zewsząd na ulicę. Popłoch wzrastał też z każdą chwilą, podczas gdy Modena wyprostowany stał nad swą ofiarą, upajając się z dziką rozkoszą strumieniem krwi, która wśród konwulsyjnych ruchów konającego coraz szerszy pas bruku purpurą pokrywała.

Pośpiesznie zbliżające się kroki, okrzyki i nawoływania oprzytomniły go, wskazując, iż niewiele ma już czasu, a zadanie zemsty w połowie dopiero dokonane zostało. Rzuciwszy też badawcze dokoła wejrzenie, puścił się jak strzała w stronę własnego sklepu. Dopadł drzwi, otworzył je szybko, a cicho i ostrożnie, potem zaś zamknął za sobą, przekręcił klucz, zasunął rygle, czyniąc to wszystko przezornie, choć z nerwowym pośpiechem, i tak zabezpieczony zwrócił się dopiero wewnątrz mieszkania.

Szeroki pas światła padał na podłogę sypialnego pokoju, pozostawiając jednak łóżko w półcieniu. Modena zapalił świecę, stojącą u wezgłowia. Blask jej oblał rysy żony, tak śmiertelnie blade, iż białością nie różniły się od poduszki, na której spoczywała z przymkniętymi powiekami, udając sen głęboki.

— Wstawaj!—rozkazał spokojnie, głosem do szeptu prawie zniżonym.

Nie poruszyła się.

— Wstań! — powtórzył tym samym tonem stłumionym.

Oczy jej rozwarły się, patrząc nań z wyrazem dzikiej trwogi i przerażenia.

Po twarzy jego, trupio bladej, ściekała ciepła jeszcze krew Bartona. I bez tego wreszcie zbrodniczego znamienia same źrenice jego, zapadłe, złowrogim świecące blaskiem, mogły dla żony zdradzieckiej śmiertelny stanowiąć wyrok.

Cofnął się o krok i, wyprostowany, patrzył, jak wstawiała, podobna w bladej marmurowej do martwego posągu, który on siłą swego wzroku do życia powołał. Chciała krzyczeć, chciała zapewnić o niewinności swej, lecz język przyrósł jej nagle do podniebienia, a w mózgu kołowało wszystko.

Hałas na ulicy wzmagął się tymczasem, a donośne nawoływania mieszały się z odgłosem kroków, coraz liczniejszych i coraz bliższych. Tłum biegł ku ich domowi, ręce zaś silne zaczęły szarpać drzwiami, rozkazując, aby je otworzono.

To dodało odwagi kobiecie. Z piersi jej ostry, przeraźliwy wybiegł okrzyk.

— Dalej! — szydził Modena. — Jeszcze raz! Wołaj go... wszak dopiero co odszedł, nie może być daleko! Przybiegnie ci pewno na pomoc. No, krzycz-że, moje dziecko!

Pukanie do drzwi ustało na chwilę. Wobec jednak przerażającego echa, jakim się rozległ głos Katarzyny, silne dłonie zaczęły tem natarczywiej wstrząsać podwojami sklepiku, wytwarzając hałas coraz burzliwszy i coraz natarczywszy razem.

Świadomość zbliżającej się pomocy oraz strach rozpaczny dodały jej odwagi do walki o własne życie. Odskoczyła od łóżka i jednym zwinnym susem znalazła się przy schodach. Lecz Modena z jakimś strasznym, krew mrozącym śmiechem pochwycił ją równocześnie za włosy i wściekłym uderzeniem sztyletu na ziemię powalił.

Upadła z jękiem, błagając miłosierdzia, modląc się o łaskę. Głos jej wszakże pozostałby bezsilnym, choćby nawet był w stanie przebić się przez szum głuchy, jaki krew, z siłą gwałtowną na mózg uderzająca, w głowie jego wytwarzała.

Uderzenia też następowały z szybkością błyskawiczną jedno po drugim. Nóż podnosił się tylko i opadał, bijąc na ślepo, z całą zaciętością, z całą bezprzytomną, obłąkaną nienawiścią tej długo tłumionej a wybuchłej nagle wściekłości.

Modena zatrzymał się wtedy dopiero, gdy ręka mu zemdląła, gdy nie mógł sztyletować już dłużej.

Wśród ciała, w jedną ohydną zamienionego ranę, twarz tylko, ta twarz pięknej kobiety, unięknęła oszpecenia. Być może, iż nawet w obłądnie

strasznej i wstrząsającej namiętności jakiś instynkt wewnętrzny powstrzymał go od uderzania w oblicze, od psucia cudnej jego harmonii. Z oczami też rozszerzonymi, wychodzącymi z orbit nieledwie, patrzył i patrzył w te rysy, wśród konwulsyjnych drgań zastygłe, aż nagle rzucił się obok trupa na ziemię, z łkaniem, rozrywającym piersi, a tak gwałtownem, jak strasznym i wstrząsającym był gniew jego przed chwilą.

I znów, jakby pod wpływem reakcyi, pod działaniem nowego przełomu uczuć, łzy jego i płacz nerwowy ucichły nagle.

Zerwał się, a podnosząc w ramionach ciało zmiażdżone, zaniósł je na łóżko, ułożył na śmiertelnej pościeli i, skrzyżowawszy ręce zmarłej na kołdrze, otulił ją, jak całunem, po szyję, kryjąc ślady ran i własnej zbrodni.

Zaledwo ukończył trudne to, z nerwowym pośpiechem wykonane zadanie, gdy drzwi frontowe, ulegając naciskowi, wysadzone zostały z łoskotem, a gwar głosów zmieszanych i kroki ciężkie w sąsiednim rozległy się pokoju, ustając przy podwojach sypialni dopiero.

— Proszę wejść, panowie!—zawołał Modena zwykłym już swym głosem.—Skończyłem właśnie zadanie i, jeżeli mnie szukacie, jestem odtąd na wasze rozkazy.

ROZDZIAŁ VI.

Postawiony przed sądem Modena zachował ten sam spokój, to samo panowanie nad sobą, jakich dał dowody w chwili, gdy go schwycono z rękami krwią zbrczonemi nad ciałem zamordowanej żony. Oburzenie pospółstwa za tę zaciekłość w zbrodni było tak silne, że gdyby nie obecność policyi, ludność miejscowa sama może wymierzyła by sprawiedliwość, wieszając go na miejscu popełnionego zabójstwa. Ponieważ jednak przyznał się głośno do winy, uwięziono go tylko, sprawa zaś odłożoną została do najbliższego posiedzenia sądu przysięgłych.

Czekając w murach Fordmouth-Prison na wyrok za rozmyślne morderstwo, człowiek ten okazywał się spokojnym i nieprzeniknionym, jak dawniej. Zdrowie jego wszakże zaczęło chwiać się stopniowo. Siedząc zamknięty w celi, godzinami całemi mówił sam do siebie, tłumacząc coś, w rodowitym swym, włoskim języku. Zagadnięty w chwili takiej przez jednego z urzędników lub dozorców więziennych, odpowiadał z miną błędną, jak człowiek nieprzytomny na razie.

Nie jadał przytem nic prawie. Organizm też jego doszedł w końcu do takiego stopnia osłabienia, iż uznano za stosowne zawezwać lekarza wię-

ziennego, d-ra Redbrook, oddając oskarżonego w jego opiekę.

Redbrook spróbował mówić z nim po angielsku; otrzymując wszakże niedostateczne lub niezrozumiałe odpowiedzi, uciekł się do rodzinnego jego, włoskiego języka.

Na pierwszy dźwięk mowy ojczystej blade lica więźnia żywy przebiegł płomień, oczy jego za jaśniały, apatya zaś i letarg myśli pierzchnęły, jak zakłete.

— Co panu jest?—pytał doktor.—Mówią mi, że nie chcesz przyjmować pokarmów.

— Tak, *signor*. Po co mam jeść, po co podtrzymywać życie, skoro śmierć czeka mnie wkrótce.

— Mój człowieku, zkad ta rozpacz? Przecież niema jeszcze wyroku, nie skazano cię dotąd.

Więzień rzucił mu bystre, badawcze spojrzenie.

— Czy sądzisz, *signore*, że mnie powieszą?

— Nie o to chodzi na teraz. Zamiast pytać, odpowiedz mi lepiej szczerze. Więc prawda, że usiłujesz zagłodzić się na śmierć?

— Nie, *signor* — z zagadkowym zaprzeczył śmiechem. — Nie mam zamiaru ani ochoty umierać. Ponieważ jednak nie spodziewam się, abym w Anglii znalazł sprawiedliwość, a zatem, jak pan widzisz, wolę być przygotowanym na wszystko.

Słowa dość były jasne i zrozumiałe, zachowanie jednak więźnia nie przestawało dziwić niezwykłością. Modena siedział na brzegu swego tapczanu, z twarzą odwróconą od doktora i oczyma utkwionemi w ścianę celi; usta jego poruszały się przytem tak, jak gdyby mówił coś do siebie. Puls jego, choć słaby, z gorączkową jednak uderzał szybkością.

— Nie zdaje mi się, aby poważniejsze jakie groziło panu cierpienie — pocieszał Redbrook. — Przyjmij wszakże mą radę i staraj się odżywiać stosownie, nie odpychając jedzenia ani napoju.

Podniósł się, aby opuścić celę.

— Chwileczkę, *signor!* — zawołał Modena nagle. — Nie wiesz pan, czy ją pochowali?

— Pańską żonę? Rzecz prosta.

— Czy nie przemówiła już wcale? Nie przyszła do przytomności? Umarła, zupełnie umarła? Ach, tak, pamiętam! Wiesz, *signor*, to ja ją zabiłem! Nie było innej drogi wyjścia. Szkoda, żeś nie słyszał, jak krzyknęła, gdy nóż serca dosięgnął! O, ten okrzyk najśłodszą stanowił dla mnie muzykę. Gdybym raz jeszcze mógł ją zabić, zabiłbym ponownie... patrz, tak, w ten sposób...

Podniósł prawicę i z rozszerzonymi, błyszczącymi źrenicami wywijał nią w powietrzu takim ruchem, jak gdyby sztyletował ponownie nieszczęsną swą ofiarę. Rysy jego gorzały, oczy paliły

się; wyglądał też prędzej na dzikie zwierzę, niż na człowieka.

Wtem, zanim doktor zdążył wyrazić zdumienie swe, oblicze jego stężało nagle i do dawnego, martwego wróciło spokoju. Więzień zaczął napowrót szeptać coś do siebie.

Gdy nadszedł wreszcie dzień sądu, Modena stanął przed przysięgłymi tak postarzały, jak gdyby przez krótki ten przeciąg czasu lata całe przeżył. Ściskając nerwowo poręcz baryerki, oddzielającej go od publiczności, rzucał dokoła dzikie, przerażające wejrzenia, w których obok obawy i zdumienie odbijało się zarazem. Z chwilą jednak, gdy wywołano głośno jego nazwisko, otrząsnął się z wrażenia, zapanował nad sobą i wyprostowany, z rękami skrzyżowanymi na piersiach, uśmiechał się spokojnie.

Oskarżony o rozmyślne morderstwo, przyznał się natychmiast do winy. Zapytany, czy wie, że za zbrodnię taką kara śmierci go czeka, i czy ma cokolwiek na swoją obronę, zaczął gorączkowe, beładne opowiadanie o niewierności swej żony, o zdradzie jej i własnych krzywdach. Słowa jego, napół tylko przytomne, przerwał, na szczęście, obrońca, dodany mu dzięki staraniom konsula włoskiego — i, żądając ekspertyzy lekarskiej, oświadczył, iż podsądny, jako chory umysłowo, niepoczytalnym był w chwili popełnienia czynu zbrodniczego.

Przywołano doktora więziennego.

Zapytany, czy zauważył u więźnia wskazówki najłżejszego zboczenia umysłowego, Redbrook stanowczo przeczącą dał odpowiedź. Według jego zdania, oskarżony był w zupełności przytomnym, świadomym i za własne czyny odpowiedzialnym.

— Dziękuję, *signor!* — zawołał Modena z uśmiechem.

Jedyną więc okolicznością łagodzącą i przemawiającą na korzyść podsądnego była opinia zmarłej. Przyznawano jej ogólnie charakter niski, oskarżając o stan moralnego zepsucia. Pomimo tego, jasnym było, iż Modena działał z krwią zimną, że z rozmysłem uknuł spisek, którego ofiarą padli zamordowani, że, jednym słowem, zbrodnię całą ułożył i wykonał z pełną świadomością i wyrafinowaniem okrucieństwem.

Przysięgli też uznali go winnym. Za śmierć zadaną śmiercią miał odpłacić.

Modena nawet wobec wyroku zachował panowanie nad sobą. Z rękami skrzyżowanymi na piersiach stał wyprostowany i, patrząc na sędziów, słów ich z pozornym wysłuchał spokojem.

Był to jednak ostatni wysiłek woli. Gdy mu kazano opuścić salę, obrócił się jeszcze, lecz równocześnie członki wypowiedziały mu posłuszeństwo. Zachwiał się, podniósł ramiona, szukając instyn-

ktownie podpory—i, bez zmysłów, w śmiertelnem nieledwie omdleniu, runął na posadzkę.

ROZDZIAŁ VII.

Gdy Modena, którego w głębokiem obezwładnieniu odniesiono do celi, otworzył wreszcie oczy, nad nędznym jego tapczanem stał pochylony doktor Redbrook.

— Miałem więc rację—wyszeptał po włosku, patrząc ze słabym odbłyskiem wracającej pamięci w rysy lekarza,—miałem rację... Powieszę mnie!.. O, *signor*, powiedz, kiedy? Kiedy, czy prędko?

— Nie wiem — odparł Redbrook. — Pamiętaj jednak, iż na tym świecie pozostaje ci już tylko pogodzić się z własnem sumieniem i z Bogiem.

— Więc niema żadnej nadziei?

— Żadnej.

Z piersi skazanego wybiegł śmiech głuchy, histeryczny.

— I chcecie, abym pogodził się z Bogiem! Po co przemawiać do mnie, jak do bezrozumnego dziecka? Jesteś przecież, *signor*, człowiekiem uczonym; wypowiadając więc słowa podobne, musisz drwić z mojej łatwowierności, naśmiewać się z zabobonu, z przesądu, w który chcesz, abym ja wierzył.

Czy sądzisz, że gdyby tam, gdzieś w górze, istniał Bóg jakikolwiek, to jabym potrzebował zabijać Katarzynę? Nie, ja karę za jej występki pozostawiłbym temu Bogu właśnie! Nie dla mnie jednak dziecinne złudzenia! Wiedziałem, że niema wyższej nad ludzką sprawiedliwość; wiedziałem, że, gdy zechcę, mogę ją zniszczyć, unicestwić, wykreślić na zawsze z życia i ze wszechświata! I, jak ślimaka jednym uderzeniem nogi, tak zmiażdżyłem kobietę tę... A pan, pan próbujesz jeszcze mówić mi o Bogu!

— Powiedz mi—przerwał Redbrook,—w jakiej wychowano cię wierze?

— Mój ojciec był protestantem, *signor*.

— W takim razie kapelan więzienny tegoż wyznania pomówi z tobą.

Modena zaśmiał się dziko.

— Umrę z przekonaniem, z jakimi żyłem.

— To znaczy?

— Iż nie znoszę kłamstw i słuchać ich nie będę. Powtarzam, że niema wyższej Istoty; Bóg to cześć słowo! Pan, jako człowiek rozumny, jako człowiek nauki, nie możesz mi zaprzeczyć. Czy sądzisz, że nie nie czytałem, że nie nie umiem? Czy myślisz, że siedziałbym tu spokojnie, gdyby czyn spełniony dał się odwołać, gdyby Katarzynę można przywrócić do życia?

— Ależ on bredzi! — przerwał potok słów ognistych stojący obok dyrektora więzienia.— Szaleństw tych niepodobna słuchać. Chodźmy; trzeba mu przysłać kapelana.

W miarę jak dzień egzekucyi się zbliżał, skazany stawał się coraz spokojniejszym. Doszedłszy raz do przekonania, iż nic losu jego zmienić nie może, że niema dlań nadziei ocalenia, zapadł w poprzednią apatyę, w letarg moralny nieledwie. Nie sprzeciwiał się też częstym odwiedzinom duchownego, który przychodził, niosąc mu zwykłą w takich razach pociechę religijną.

Gorąca wiara i gorliwość młodego kapelana, zamiast go przekonać lub wzruszyć, zdawały się bawić poprostu. Uśmiechał się tylko; naglony zaś o wyznanie skruchy, o odwołanie słów bluźnierczych, unosił się i, wyrażając całą swą pogardę dla nauk chrześciance, szczycił się ateizmem krańcowym i przeczeniem wszystkiemu, co ludzie cześć przywykli.

Było to ciężkie i niemile przejście dla wielobnego Karola Shadwell. Nigdy jeszcze w krótkim swym zawodzie duchownym nie spotkał więźnia, tak obojętnego na rzeczy, które dla pełnego zapału kapelana najwyższą świętość stanowiły. Modlił się za skazanym; rozumował z nim, argumentował, przekonywał — wszystko napróżno.

Wszelkie teorye, wszelkie objawienia „głupstwem“ były według Modeny. Istnieje jedynie materya i nicość, życie i śmierć... Jedno jest tylko faktem niezbitym: że śmierć kończy całą komedję bytu. I dlatego właśnie Modena, przygotowany na nią, gotów był umrzeć w każdej chwili.

Nie można go było również nakłonić do okazania najlżejszego żalu, najlżejszej skruchy za popełniony czyn zbrodniczy. Na wszelkie przedstawienia powtarzał z niezachwianym uporem, iż zabił, bo miał do tego prawo. Działał tylko w obronie własnego dobra i honoru; gdyby też raz jeszcze znalazł się w podobnych okolicznościach i warunkach, postąpiłby zupełnie tak samo.

Zarówno groźba kary wiecznej, jak nadzieja przebaczenia i niebieskich szczęśliwości, żadnego nie wywierały na nim wrażenia. Kapelan, obezwładniony tą zaciętością, czuł się bezsilnym do niesienia mu dalszej religijnej pomocy; bluźnierstwa więźnia przejmowały go zgrozą i rozpaczą.

Parokrotnie w tym czasie Modena doszedł do takiego stopnia fizycznego wyczerpania, iż okazała się potrzeba zawezwania doktora Redbrook.

Więzień korzystał z tego, by powracać wobec lekarza do pierwotnego wyznania bezwarunkowej swej niewiary i krańcowej pogardy dla religii. Sądził on widocznie, iż w doktorze, dzięki zajęciom

jego i wykształceniu, musi znaleźć oddźwięk sympaty, a nawet tajemnego sprzymierzeńca.

Przecucie, czy bystrość sądu, nie myliły go poczęści. Co prawda bowiem, doktor Redbrook odznaczał się silnie materyalistycznymi sympatjami. Pomimo jednak teoretycznych zapatrywań tych, charakter Modeny i jego zacięty, nieubłagany upór w zbrodni oburzały go, wstręt w nim budząc.

— Bez względu na religię i przekonania— myślał, — człowiek ten, jako dzikie i szkodliwe zwierzę, na stryczek zasługuje tylko.

Dzień, naznaczony na wykonanie wyroku, nadszedł wreszcie.

Był to chłodny, ponury poranek zimowy.

Wieczorem dnia poprzedniego powiedziano Modenie, iż noc ta jest ostatnią nocą jego na tym świecie. Przyjął oświadczenie to obojętnem wzruszeniem ramion, zjadł z apetytem kolację, i rzuciwszy się na posłanie, spał snem głębokim a spokojnym, pod strażą dwóch dozorców.

Zbudziwszy się około północy, ujrzał siedzącego u nóg swych kapelana i powitał go z nieukrywaną złością.

— Wcześniej pan przyszedł—rzucił wściekle.—Któraż tam godzina?

— Dwunasta — odparł duchowny. — W krótkim zaś czasie...

— Zasnę tak głęboko, że mnie nareszcie nikt obudzić nie będzie w stanie! *Altro!* Ale pan i własny zakłócasz spoczynek. Szkoda nocy—zapewniał ironicznie. — Proszę, racz-że mnie opuścić łaskawie.

— Pozostanę już tutaj aż do ostatnich chwil twoich—objaśnił Shadwell, drżąc gwałtownie.

— Zbyt dobrym jesteś, mój księże—szydził skazany.— Cóż cię tak dusza moja niepokoić może? Phi! Jutro o tej godzinie z owej biednej duszy nie będzie już śladu: rozplynie się, jak bańka zgniłego powietrza... Czy nie powiedziałem ci zresztą ze sto razy co najmniej, że napróżno cenny twój czas tracisz? Czemuż nie pozwalasz mi umrzeć chociaż w spokoju?

— Ależ dlatego właśnie jestem tutaj, iż pragnę, abyś się z życiem rozstał w spokoju właśnie. Nędzny człowiecze! Błagam cię, żałuj za czyn popełniony, póki czas jeszcze. Jeżeli skrucha twa będzie zupełną, doskonałą, jeżeli zdasz się z wiarą na łaskę Tego, który jest miłosierdziem uosobionem, możesz jeszcze ocalić życie twe przyszłe, a duszę zbawić.

I z głosem drżącym od łez, a twarzą śmiertelnie bladą, z oczyma pełnemi porywającej wiary i głębokiego politowania, kapelan, wstrząśnięty wzruszeniem, chciał mówić dalej, lecz Modena z ruchem wściekłym przerwał mu gwałtownie:

— Dosyć!—krzyknął.—Dosyć! Wszystko to już słyszałem! Słyszałem, gdy byłem dzieckiem; słyszałem tam, we Włoszech; słyszałem tu, w Anglii; słyszałem we wszystkich zakątkach świata... Dosyć mam tego! Powtarzam też: fałsz to, kłamstwo wierutne, w które nie wierzę! Mówcie bajki takie dzieciom naiwnym... Ja śmieję się z waszej wiary, śmieję z religii i szydzić z niej będę ze stryczkiem na szyi jeszcze. Precz z waszym Bogiem! Precz ze wszystkimi bóstwami! Jestem człowiekiem, mężczyzną, więc wiem, iż z prochu powstałem i w proch się obrócę.

Ze słowami temi rzucił się na łóżko, a obróciwszy się tyłem do młodego kapelana, udawał, że zasypia.

Blady jak śmierć duchowny postanowił jednak czuwać dalej przy skazanym. Osunąwszy się też na kolana, rozpoczął głośną modlitwę.

Nie z ust jego tylko, lecz z głębi zbolełego, cierpiącego serca płynęły słowa tak piękne, że nawet dozorca więzienni, o duszach widokiem ludzkiej niedoli zahartowanych, uczuli się do łez wzruszeni. Natchnione oblicze księdza jaśniało nadziemską mocą i rozrzewnieniem, promieniało wszechpotężną, głęboką wiarą. Słowa wreszcie zamarły na jego ustach; ukrywszy twarz w dłoniach, modlił się dalej nie wargami, lecz duchem tylko.

— Co pan tam robisz? — zapytał nagle więzień, nie odwracając się wcale od ściany.

— Modłę się za ciebie.

— A cóż tam, nie namodliłeś się jeszcze dosyć? Pozwólże sobie powiedzieć, że to istna strata czasu. Ja na słowa twoje nie zwracam żadnej uwagi a Pan Bóg ich nie słyszy! Daj mi spać lepiej.

— Śpij zatem; ja zaś będę się modlił po cichu.

Od chwili tej Modena przez kilka godzin najłżejszego nie uczynił poruszenia. Według wszelkiego prawdopodobieństwa, spał najspokojniej. O piątej wyciągnął się, odwrócił i usiadł, a oczy jego padły na klęczącą wciąż jeszcze postać kapelana.

Mr. Shadwell powstał teraz natychmiast, mówiąc z prostotą:

— Cieszę się, że spałeś tak dobrze.

Dozorca zapytał z kolei skazanego, czy życzy sobie zjeść śniadanie. Modena odmówił, prosząc wzamian o trochę tytoniu i fajkę. Za gorącym wstawieniem się kapelana życzenie więźnia spełnionem zostało. Siedział też spokojnie na tapczanie i z oczyma w przestrzeń utkwionemi palił fajkę, otaczając się gęstymi kłębami dymu.

Napróżno kapelan zużywał ponownie wszystkie swe siły, aby skłonić go do najłżejszej oznaki

skruchy lub wiary. Zabiegi jego, błagania, przedstawienia, bezowocnymi pozostały.

Wkrótce później ukazali się urzędowni przedstawiciele władzy, wraz z doktorem Redbrook, którego obecność zdawała się sprawiać przyjemność skazanemu. Nawet jednak widok kata i zwyczajem uświęcone podanie jego ręki nie zdołały odebrać Modenie spokoju i panowania nad sobą.

Zaczęły się ohydne formalności wstępne. Więźniowi skrzepowano ręce, dzwon zaś na wieży jękiem żalonym obwieścił światu, iż zbliża się godzina pokuty i strasznego za popełnione zbrodnie zadośćuczynienia.

Gdy orszak żałobny ze skazanym w pośrodku wyruszył z celi, kapelan, drżący jak liść, zaczął odmawiać głośno modlitwy za umierających.

Ten zaś, za którego niesiono prośby do Boga, szedł w ponurym blasku zimowego poranka przez dziedziniec więzienny, a dalej po stopniach wzniesionego naprędce szafotu, szedł krokiem pewnym i śmiałym, podczas gdy kapelan, postępując za nim, powtarzał głośno modły za konających.

Szary, mętny i smutny mrok poranny rozjaśnił się wreszcie pierwszym promieniem światła, a promień ten padł właśnie na szafot i nędzną, przerażającą postać skazanego, który stał, czekając pod szubienicą, z czarną zasłoną, spuszczoną już na oczy.

— Módl się do Boga — szepnął mu kapelan raz jeszcze. — Módl się do Boga, i oby On miłosierdzie nad duszą twą okazał!

Dyrektor więzienia dał znak w tej chwili — pętla zarzuconą na szyję została, a równocześnie prawie ciężkie ciało skazanego zawisło w powietrzu.

Trwało to wszakże ćwierć sekundy tylko. W tem samem bowiem mgnieniu oka stryczek, wyprężwszy się pod ciężarem ciała ludzkiego, pękł nagle, wypuszczając ofiarę ze śmiertelnego swego uścisku.

Okrzyk przerażenia wyrwał się z piersi obejnych. Na usta kapelana wybiegł jęk tylko. Ksiądz, wstrząsany wrażeniami tyłu, zachwiał się i na widok tej postaci skrępowanej więzami, która u nóg jego bezkształtnie się zwała, sam o mało co nie upadł zemdłony.

Kat poskoczył tymczasem, a unosząc Modenę w silnych ramionach, zerwał mu czarną zasłonę z twarzy. Żył jeszcze, żył, nieuszkodzony napozór próbą tą śmiertelną, lecz wracający do świata, walczący z odzyskiwaną świadomością, jak człowiek, który po śnie głębokim otrząsa się z duszącej go zmory.

Straszna nastąpiła scena.

Dyrektor więzienia oskarżał głośno kata. Oprawca bronił się krnąbrnie. Modena, otworzywszy oczy w tej chwili i utkwivszy je w zarysie

szubienicy, wydał rozdzierający serce okrzyk, któremu, jak echo słabsze, odpowiedział wstrząsający do głębi jęk kapelana.

Kat rzucił się teraz, by z pomocą swego zastępcy pochwycić więźnia, ciągnąc go powtórnie przez stopnie szafotu aż pod wiązanie szubienicy.

Tu, oblany różowem światłem jutrzeńki i pierwszemi promieniami słońca, promieniami, dającymi życie wszechświatom, stał nieszczęsny skazaniec, bezsilny, skrępowany powrozami, wijąc się w tych więzach ohydnych i wyjąc nieledwie ze zgrozy i przerażenia.

— To nieludzkie, niegodne! — protestował kapelan. — Zabierzcie go napowrót do celi. Czyż podobna patrzeć na taką męczarnię!

Zanim jednak słów tych dokończył, oprawca założył już nowy stryczek, ściągnął czarny kaptur na oczy skazańca, a pętlę na szyję mu zarzucił.

Dano ponowny sygnał. I znów usunięto podstawę z pod nóg nieszczęsnego, i znów ciało jego w drgawkach przedśmiertnych zawisło w powietrzu... Stryczek, zamiast pęknąć, opuścił się tym razem, wyciągał się skręt po skręcie, włókno po włóknie, aż nogi skazańca czubkami palców napowrót ziemi dosięgły.

I ciało, w pół oparte, w pół zawieszane w powietrzu, wśród okropnych, grozę budzących drgań i konwulsyj, kręciło się zwolna wkoło a wkoło!

Po raz drugi kat, nieprzyzwyczajony do strasznej egzekucyi, przez niezręczne założenie stryczka nie wypełnił wyroku śmierci na skazanym.

Maurizio Modena żył jeszcze.

ROZDZIAŁ VIII.

Maurizio Modena żył jeszcze.

Czy jednak był to fakt możliwy?

Wszak konwulsyjne ruchy i podrzucania ustały nagle, a ciało, wyprężone, sztywne, zawisło na rozluźnionym stryczku z trupią nieruchomością.

Z ust obecnych wybiegł znów przeciągły okrzyk przerażenia. Kapelan, omdlały nieledwie, osunął się na kolana u stóp wisielca.

Dyrektor zwrócił się ponownie do kata z wyrazem najwyższego oburzenia. Oprawca jednak, wręcz przeciwnie niż wszyscy poruszony uczuciami, bronił się wymownie. Na szczęście egzekucya odbywała się przy zamkniętych drzwiach więzienia, a tylko w obecności reporterów, inaczej mogłoby przyjść do poważnych zaburzeń wśród publiczności. Urzędnicy więzienni nawet głęboko podobnem niedołęztwem i znęcaniem się byli oburzeni.

Żył, czy wyzionął ducha wśród strasznych tych męczarni? Pytanie to wszystkie przebiegało umysły, we wszystkich malowało się oczach.

Ciało, nieruchomie na stryczku zwieszone, jak magnes straszny i groźny przykuwało do siebie zrenice. A może, pomimo całego niedołęztwa kata, wyrok prawa był już spełnionym? Nadzieja ta, przez poczucie ludzkości dla skazanego podyktowana, rozwianą została okrzykiem grozy, wybiegającym z ust kapelana.

— Co czynicie?—zawołał!—Dlaczego znęca się nad nim! Ależ ten człowiek żyje! Oswobodźcie go, odwiążcie, błagam w imię Boga!

Oczy zebranych, idąc za palcem jego, w kierunku trupa wyciągniętym, spostrzegły, iż wyprężonem ciałem wisielca wstrząsnął dreszcz lekki, jakby od iskry elektrycznej powstały. Na rozkaz dyrektora kat poskoczył, unosząc postać skazanego w silnych ramionach do góry. Pomocnik oprawcy rozluźnił równocześnie węzeł i zerwał czarny kapтур, dopuszczając prąd świeżego powietrza do nozdrzy wisielca. Stryczek uwolnił ofiarę z ohydneho swego uścisku i Modena bez poruszenia, bez wydania głosu, jak masa bezkształtna, runął całym ciężarem na ziemię.

— Po co to było wtrącać się! — mruknął kat opryskliwie. — Wiedziałem, że skończona z nim sprawa.

Pomylił się jednak. Doktor Redbrook bowiem, który klęczał już pochylony nad wyciągniętą na ziemi postacią, podniósł w tej chwili na oprawcę wzrok pełen gniewu i oburzenia.

— Przez złe powieszenie nie został zabity—
wygłosił.—Kolumna pacierzowa nadwreżona, ale
nie złamana; chociaż więc pulsu dobadać się nie
mogę, skazany żyje prawdopodobnie.

Dyrektor więzienia stał przerażony i zmieszany zarazem. Korzystając z tego, kapelan zwrócił się ku niemu ze słowami oburzenia i gorzkiego wyrzutu. Urzędnicy zbili się w grupę, przykuci do miejsca, skamienieli, z wolą sparaliżowaną i obezwładnioną.

Lekarz rozerwał tymczasem kaftan i koszulę więźnia, przykładając rękę do zastygłego jego serca.

— Miałem rację — zawołał z tryumfem.—
Człowiek ten nie umarł, nie został zabity! Żyje!
Za chwilę odzyska przytomność!

Na słowa te dyrektor więzienia, otrząsnąwszy się wreszcie z dotychczasowego niezdecydowania, nakazał wstrzymanie egzekucyi. Ohydny, na szykanę wyglądający wymiar sprawiedliwości został przerwany. Modnę zaniesiono napowrót do celi więziennej, powierzając go staraniom lekarskim Redbrook'a. Równocześnie zaś wysłano stosowne zawiadomienie o zaszłych wypadkach do ministra

sprawiedliwości, oczekując od niego dalszych w tym względzie rozporządzeń.

W chwilę później Włoch leżał na posłaniu więziennem w dawnej swej celi, ciągle jeszcze w głębokiem pogrążony omdleniu. Oblicze jego i ręce, jednej kropli krwi pozbawione, białe były i w śmiertelnej nieruchomości jakby z marmuru wykute. Oczy szeroko rozwarte, a w przestrzeń utkwione, martwe i zakrzepłe, przerażały swą bezwładnością. Na szyi obnażonej widniała krwawa, siniejąca pręga, okrutne a hańbiące znamię uścisku, z którego uwolniono go niedawno.

Nad chorym pochylał się doktor Redbrook, stosując wszelkie środki trzeźwiące; opodal stał wybladły kapelan i przyglądał się z trwogą staraniom lekarza.

Nakoniec dostrzeżono oznaki powracającego życia. Serce zaczęło bić słabo; postać całą przebiegał od czasu do czasu lekki dreszcz mięśni. Oczy tylko, bielmem zasłone, nieruchome, zachowywały ciągle grozę śmierci i wyraz martwoty w zwężonych źrenicach.

Redbrook zwrócił się do kapelana z poufnem objaśnieniem:

— Czy wiesz pan — mówił głosem stłumionym, — iż człowiek ten, odzyskawszy przytomność, pozostanie najprawdopodobniej idiotą lub obłąkanym? Cóż za nieszczęśliwe sparodyowanie wyroku!

— Nieszczęśliwe? Nie—oburzył się duchowny,—raczej podłe, nikczemne! Takie znęcanie się nad człowiekiem to obelga, rzucona ludzkości i Bogu! Sądzę, iż podobną męczarnią dostatecznie on ocale nie swe okupił.

— Myślisz pan, że zostanie ułaskawiony?

— Gdyby go skazano ponownie, nie byłoby chyba sprawiedliwości na ziemi. Powinien i musi żyć!

— Żyć? A po co?—zapytał Redbrook sucho.— Człowiek ten okazał wszystkie instynkty dzikiego zwierzęcia. Państwo więc ma prawo usunąć go ze społeczeństwa. Ja nie protestuję przeciw jego śmierci, lecz przeciwko fatalnie prowadzonej egzekucyi, przeciw złemu urządzeniu szafotu, który, zamiast zabić na miejscu, torturuje skazańca. Gdy my w szpitalu mamy okaz, niedający się uratować, rzeczy te załatwiają się lepiej, pocichu, bez bólu dla ofiary, bez podobnie wstrętnego widowiska. Skazany na śmierć nie wie wtedy nawet, iż postawiono go nad krawędzią unicestwienia. Jeden ruch ręki, jedno dokładne popchnięcie, i chory nie czuje, kiedy w krainę cieni przeszedł.

Kapłan przysunął się, a zwróciwszy wzrok swój pełen słodyczy i współczucia na śmiertelnie blade rysy Modeny, mówił szeptem stłumionym:

— Unicestwienie? Jeżeli pan jesteś chrześcjaninem, wiesz, że rzecz taka nie istnieje, że wyraz ten nie ma znaczenia. Możecie w szpitalach

waszych rozporządzać ciałami, lecz duszy nie dotkniecie torturą fizyczną lub bluźnierczemi słowami. Ciiicho!... Patrz pan, obudził się, chce coś powiedzieć!

Więzień leżał teraz nawznak, oddychając wyraźnie. Wargi jego poruszały się, szepcząc niezrozumiałe jakieś słowa. Nagle blask wewnętrzny, świetlany, rozjaśnił jego oblicze. Wyciągnął drżące ramiona, jakby w ekstazie. I, rzecz dziwna, blade rysy jego nie nosiły na sobie żadnego śladu cierpienia. Przeciwnie, opromieniał je wyraz cichego upojenia i spokoju. Upłynęło tak minut kilka.

Chory szeptał wciąż do siebie słowa niezrozumiałe, mówił coś szybko, lecz niewyraźnie, z oczyma utkwionemi w przestrzeń, wśród której zdawał się spostrzegać obrazy, dla otaczających go niewidoczne. Poczem powieki jego przymknęły się znów nagle, organizm zaś cały zapadł w sen cichy i spokojny.

— Niebezpieczeństwo minęło—objaśnił Redbrook.— Teraz będzie stopniowo przychodził do siebie.

Więzień spał nieporuszenie przez kwadrans zaledwo. Później kurecz nerwowy wykrzywił jego rysy, przebiegając ciało całe dreszczem konwulsyjnym. Zdawało się, iż zmora jakaś dręczy go i zakłóca spoczynek. Walczył z nią, wzdychał,

jęczał, aż wreszcie zbudził się ze strasznym okrzykiem przerażenia, cały zimnym potem oblany.

W oczach jego błyszczał dziki wyraz przestachu. Patrzył na ciasną celę, na ponure jej mury, na drzwi otwarte i zgromadzone przy nich postacie, na księdza wreszcie i doktora, stojących tuż u jego wezłowia. Żrenice jego drgnęły, ściągając się i przymykając przed blaskiem światła, oblicze jednak pozostało nieprzytomne, wzrok zachował błędny wyraz nieświadomości. Jęczał tylko dalej, poruszając gorączkowo głowę na poduszce. Wreszcie po długiej chwili niepewności i milczenia na usta jego wybiegły pierwsze zrozumiałe słowa:

— Katarzyno! — szeptał — Katarzyno!

Było to imię zamordowanej jego żony.

Doktor pochylił się, zwilżając mu wargi paru kroplami wina. Chory otrząsnął się, odepchnął rękę lekarza i usiadł na łóżku z twarzą bladą, znekana, o gorączkowo rozszerzonych źrenicach. Patrzył dokoła okiem beznadziejnym, rozpacznym, jak gdyby nie pojmował, z kąd tyle obcych osób zgromadzić się tu mogło.

Wzruszony do głębi, kapelan osunął się przy łóżku na kolana, głośno odmawiając modlitwy.

Słowa jego doszły snąć do świadomości Mordeny, podniósł bowiem palec wskazujący u ręki prawej i słuchał... słuchał...

Po chwili to samo, z duszy płynące światło wewnętrzne rozjaśniło jego rysy, odbiło się blaskiem dziwnym na wynędzniałem obliczu. Na widok ten kapelan ujął delikatnie dłoń jego lewą, której drżące palce z dobrowolnym spokojem pozostały w jego uścisku.

— Boże, zmiłuj się nad nim! Chryste, ulituj się nad nim! Odkupicielu żywych i umarłych, rzuć w nieskończonem miłosierdziu Twojem litośne spojrzenie na nieszczęśliwego grzesznika!

Nie ulegało wątpliwości, iż więzień słowa te słyszał, że chwycił je z natężeniem nawet, choć oczy w przestrzeń utkwione taki miały wyraz, jak gdyby modlitwa, dochodząca jego uszu, była głosem nie klęczącego kapelana, lecz jakiejś innej, dla niego tylko widzialnej postaci.

— Katarzyno!—zawołał ponownie.

Kapłan powstał i, blady, drżący, pochylił się łagodnie nad łóżkiem.

— Modeno!—wyszeptał ze współczuciem.

Chory spojrzał nań, lecz rysy jego nie wskazywały bynajmniej świadomości. Nie poznał nawet mówiącego.

— Kto mnie woła?—zapytał po włosku, głosem zaledwo dosłyszalnym.— Czy to ty, Katarzyno? Patrz, jakaś postać obca stoi za tobą. Czy wiesz, kobieto, że ja umarłem? Umarłem, a jednak żyję! Ksiądz mnie nie okłamywał... Kitty, osłoń szyć;

weź moję chustkę i zatamuj potok tej krwi szkarłatnej. Wszak widzisz, czerwona kałuża u stóp twoich podnosi się, rozszerza, wzrasta, a tam, tam dalej, purpurowe zalewają nas fale! Kto to krąży po nich? Jakie istoty stąpają po morzu krwawem bez obawy, a ze śpiewem na ustach?

— Co on mówi? Co to ma znaczyć? — pytał przerażony kapelan doktora Redbrook'a.

— Majaczy — brzmiała odpowiedź. — Skończył pomieszaniem zmysłów, tak jak się tego obawiałem.

Lecz nagle dziki okrzyk rozerwał powietrze.

Modena uczeplił się z trwogą śmiertelną kapelana, patrząc błagalnie w jego oblicze.

— Modeno! — wołał. — Modeno! Wszystko już się skończyło!

— Czy ja umarłem, czy żyję? — dodał po chwili głosem rozzierającym, a łzy jak grad staczały się po wybladłych jego licach.

— Żyjesz, Modeno — zapewnił doktor Redbrook.

— Żyję! Żyję! Żyję! — powtarzał nieszczęsny z łkaniem rozzierającym, które dreszczem konwulsyjnym całą jego wstrząsnęło postacią. — Więc to życie? Więc znów znajduję się na ziemi? Po co przywieśli mnie tu napowrót? Gdzie jestem? powiedzcie mi, gdzie jestem?

— W więzieniu — objaśnił, jak echo, głos Redbrook'a.

— Nie umarłem więc... nie umarłem... śmierć mnie zawiodła! — łkał chory rozpacznie. — Byłże to sen tylko? A jednak zdawało mi się, zdawało... O Boże w niebiesiech, ulituj się nade mną!

I ze strasznym, z głębi rozdartej duszy rzuconym okrzykiem opadł napowrót na posłanie, tarzając biedną, zbolałą swą głowę na poduszce, wśród jęków i drgań konwulsyjnych, które w tym paroksyzmie grozy, bólu i przerażenia długo bardzo trwać miały.

ROZDZIAŁ IX.

W odpowiedzi na depeszę, wysłaną do ministra sprawiedliwości, zarząd więzienia otrzymał bezzwłocznie następujący telegram:

„Wyjaśnić wszystkie szczegóły piśmiennie i czekać dalszych rozporządzeń.“

Modena więc został na czas jakiś zachowany przy życiu.

Oprócz raportu, wysłanego przez dyrektora Fordmouth-Prison, kapelan, wielebny Karol Shadwell, opuściwszy celę skazanego, wygotował i wysłał tegoż dnia jeszcze do Londynu obszerny memoriał o zaszłych wypadkach, przypominając, iż

obwiniony ma odtąd prawo do łaski i do zmniejszenia kary.

Szczegóły nieudanej a ohydnej egzekucyi ukazały się równocześnie na kartach kilku dzienników, wywołując żywe oznaki oburzenia we wszystkich zakątkach kraju. Całe barbarzyństwo występku Modeny zostało zapomniane wobec współczucia, jakie obudziło echo tortur, przez niego doznanych.

Dwadzieścia cztery godzin upłynęło tymczasem, zanim nieszczęśny skazaniec powrócił o tyle do przytomności, aby zrozumieć położenie, w jakim się obecnie znajduje. Zdawszy sobie z niego jasno sprawę, zażądał najpierw, aby zawezwano doń kapelana.

W chwili, gdy Mr. Shadwell stanął na progu celi, więzień, który leżał dotąd z przymkniętymi w połowie powiekami, podniósł wzrok radośnie i na powitanie obie ku niemu wyciągnął dłonie. Oczy jego przytem błyszczały łzą nietajoną, oblicze przybrało wyraz dziwnie smętny i łagodny.

— Cierpiałeś pan bardzo — wyrzekł młody duchowny, zajmując miejsce przy łóżku chorego. — Współczuję też z tobą szczerze i cieszę się zarazem nadzieją, że Bóg wysłuchał prośb moich, że ciężka, przerażająca ta próba natchnęła cię lepszymi uczuciami i żalem za czyny poprzednie.

Nie odpowiadał. Przez chwilę też w celi więziennej głęboka panowała cisza.

W końcu zabrzmiał ponury głos chorego:

— *Signor*, jak to być może? Ja umarłem przecież, umarłem i... żyję!

— Chcesz powiedzieć, że cudem tylko uniknąłeś śmierci?—podsunął kapelan.

— Nie, *signor*. Pan widzisz jedynie, że leżę tutaj; lecz ja wiem, że, żyjąc, trupem jestem zarazem. Umarłem przecież... Kiedy oni mnie powiesili?—ciągnął po chwili.—Był to wczoraj, czy rok temu? Dla mnie czas ten za wieczność starczył. Wydaje mi się, iż scena owa miała miejsce tak dawno, dawno temu!

— Wieszano cię wczoraj.

— Wczoraj? A kiedy było wczoraj? Nie wiem... nie mogę sobie przypomnieć... Wszystko wydaje mi się próżnią, snem... Nie jestem nawet pewny, czy to ja, Modena, mówię do pana. Wczoraj! Wczoraj!... A Katarzyna, a Kitty, czy ona żyje, czy umarła? Odpowiedz mi, księżu... Zaklinam cię! Błagam...

— Musisz przecież pamiętać?

— Nic nie pamiętam — odparł więzień smutnie.—Nie mogę pojąć tego, co się stało, co mnie otacza... Wiem tylko, że umarłem a przecież istnieję, że jestem trupem a żyję!

— Boże, ulituj się nad nim!—wyszeptał kapłan; głośno zaś dodał:

— Czy nie chcesz, aby ci czytać głośno?

— I owszem, *signor*; proszę—brzmiała uległa odpowiedź.

Kapelan ujął Biblię; otworzywszy ją zaś na los szczęścia, zaczął powtarzać głosem spokojnym zrazu, a później coraz cichszym, coraz bardziej złamanym, cudowną historję o Łazarzu, który umarł i został oddany na pastwę ziemi, gdy wtem potężne słowo Chrystusa z grobu wskrzesiło go jeszcze.

Modena z dłońmi wychudłemi, skrzyżowanemi na piersiach, słuchał uważnie, szepecząc od czasu do czasu wyrazy jakieś do siebie. Gdy Ewangelia ukończoną została, podniósł oczy ze smętnym uśmiechem na czytającego.

Zapytany, co uśmiech ten znaczy, odparł z prostotą.

— Myślałem tylko, *signor*, iż wszystko, co wysłuchałem, dziwne jest i niezwykle. Czy ów Łazarz, zmartwychwstawszy z grobu, opowiedział przynajmniej, co widział na tamym świecie?

— Nie wiem. Historia biblijna żadnem nie stwierdza tego świadectwem.

— A jednak, *signor*, i on przecież, rozstawszy się z życiem, musiał *tam*, za naszą kulą ziemską, nadzwyczajne poznać rzeczy. Musiał wiedzieć, że i w śmierci istnieje siła odrodcza, że zgon jest tylko początkiem nowego istnienia.

Zarówno słowa jego, jak ton spokojny, marzyielski, i oczy w dal utkwione, zdumiały duchownego.

— Co chcesz przez to powiedzieć?—zapytał żywo. — Czyż to możliwe, aby to, co zaszło wczoraj, dało ci jakieś nieokreślone pojęcie o... o życiu na innym świecie?

— Opowiem panu wszystko, bo... bo muszę mówić — wyznał więzień. — Gdy mi ten straszny stryczek zarzucono na szyję, zapadłem w jakąś otchłań ciemności i zapomnienia. Ale trwało to sekundę tylko. W chwilę zaś później... *w chwilę po śmierci...*

Zatrzymał się drżący cały. Powieki jego przysłoniły się, ciałem dreszcz śmiertelny wstrząsnął.

— Nie mów lepiej o tem—przerwał kapelan ze współczuciem.—Staraj się zapomnieć o męczarni okrutnej, zapomnieć na teraz przynajmniej.

— Pozwól mi zebrać myśli, *signor*. Tak, pamiętam, pamiętam doskonale... Od chwili tej dzielą mnie długie, długie lata, wieczność prawie... Leżałem umarły, a śmierć snem mi była jedynie, snem bez widziadeł, bo przecież trupy nie marzą, ja zaś wiedziałem, że martwym ciałem jestem tylko. Pod koniec wreszcie ocknąłem się, lecz samo budzenie się wieki, długie wieki znów trwało... Pan mówisz, że umarłem wczoraj? — dodał nagle. — Jakżeżby to być mogło? Nie, zachodzi tu pomyłka... To musiało być dawno, bardzo dawno temu.

Jakkolwiek Shadwell widział jasno, iż chory majaczy, jakkolwiek pojmował, że umysł jego błądzi nieprzytomnie w jakichś krajach nieznanych, niemniej zachowanie Modeny było tak spokojne, a mowa i spojrzenie tak skupione w sobie, iż kapłan nie mógł otrząsnąć się ze zdumienia. Ujawszy też rękę więźnia, mówił łagodnie:

— Cokolwiek się stało, jedna rzecz jest dla mnie wyraźną, oto że Bóg pozostawił ci czas na to, abys się z Nim pojednał. Prosiłem, błagałem, modliłem się o to do Niego! Jest On dobrocią tylko, więc nawet tak ciężki grzech, jak zbrodnia twoja, potrafi przebaczyć, jeżeli z wiarą i skruczą szczerą a głęboką odwołasz się o łaskę tę do Jego tronu.

Modena z tym samym spokojnym, marzycielskim uśmiechem podniósł żrenice ku mówiącemu.

— Widziałem Boga — wyszeptał. — Widziałem Go *tam*, wśród innych światów...

— Ach, więc wierzysz w istnienie Jego narzecie! — wykrzyknął kapłan radośnie.

— Nie wiem — brzmiała odpowiedź. — Pamiętam tylko, że przed zgonem ktoś mówił mi o mocy Boga... Później zaś, w chwilę po śmierci, przekonałem się, iż słowa jego prawdą były. Ale to dawno, dawno już temu, lata, lata całe... Skoro więc śmierć nie kończy wszystkiego, skoro śmierci nie ma właściwie, Bóg istnieć musi!

— Bóg wieczysty, Bóg potężny, Bóg wszechmocny i miłosierny! — wołał kapelan z namaszczeniem, podnosząc ręce w zapale religijnej ekstazy.

Dziwne zachowanie uratowanego od śmierci więźnia poruszało go do głębi, wstrząsające wywołując na umyśle jego wrażenie. Zdawało mu się, iż zgubiona ta istota, którą niedawno nawracać usiłował, odsłania dziś przed nim jakieś nieznanne a święte tajemnice. Nadwrażliwy, o bardzo uczuciowym i czułościowym temperamencie, skłonny do wierzeń w nadprzyrodzone zjawiska, Mr. Shadwell przyjął słowa zmartwychwstałego wiśielca jak objawienie, z ufnością, do zachwytu dochodząca.

Modena nie był dlań odtąd nędznym zbrodniarzem, uratowanym od śmierci przez złe wykonanie egzekucyi, lecz świadkiem żyjącym prawd świętych, które współcześni ze wzgardą traktowali. Człowiek ten, przeszedłszy nieznane bramy śmierci i poznawszy wielką tajemnicę wszechbytu, powrócił dlatego właśnie za łaską jej w cudowny sposób na ziemię, by tu świadectwo o istności tej złożyć.

Obok zachwytu, podnieconych ruchów i gorączkowej żywości księdza, spokój, naturalne zachowanie i smutek Modeny ciekawe stanowiły przeciwstawienie.

Otrząsnąwszy się raz z wrażenia grozy i przerażenia, mówił on dalej ze spokojną dokładnością człowieka, którego umysł, zdobywszy równowagę nareszcie, głęboko jest przeświadczony o tem, co opowiada. Mając też nawet i głosząc zdania najnieprawdopodobniejsze, słowa najmniej z sobą związku mające, czynił to w sposób łagodny i poważny napozór, a niezachwianem przekonaniem tehnący.

Gdy jednak kapelan, podniecony uchyleniem rąbka tajemnicy, zaczął nalegać, wypytyjąc go dalej o szczegóły nadprzyrodzonych jego widzeń i przygód, więzień, wstrząsnąwszy głową, zamilkł niechętnie. Nie mógł on snuć, czy nie chciał mówić o tem.

Wielebny Mr. Shadwell opuścił też wkrótce celę więzienną.

Wychodząc z głównej bramy, spotkał na progu jej doktora Redbrook. Obaj panowie — jak to łatwo odgadnąć — niewielką pałali ku sobie sympatyą. Kapelan znajdował medyka zimnym, twarzym, nieprzyjemnym materyalistą. Lekarz patrzył na młodego księdza jako na czułościowego sentymentalistę o zniewieściałych upodobaniach i zupełnej nieznamomości świata.

Pomimo tego, przystanęli, podając sobie ręce.

— Byłeś pan w celi skazanego?—podjął Redbrook.—Jakżeż on się miewa? Jak się zachowuje raczej?

— Zupełnie spokojnie—brzmiała odpowiedź.—Opowiada tylko niesłychane rzeczy o wrażeniach, doznanych przez czas, gdy, nie mogąc go się docucić, sądziliśmy, że wyzionął ducha na zawsze.

— Doprawdy? Ach, miałem więc rację, przypuszczając, że nie zniesie spokojnie podobnego wstrząśnienia.

— Źle mnie pan zrozumiałeś — poprawił kapelan. — Nie okazuje on bynajmniej pomieszania władz umysłowych. Przeciwnie; jest zupełnie przytomny. Dowodzi jednak, iż przez cały czas swego pozornego zgonu, czy omdlenia śmiertelnego, zachował pełną świadomość i pamięć. Dzięki też wrażeniom, w chwili tej doznanym, głosi on dziś wiarę w rzeczy nadprzyrodzone.

— Czyż można zaufać jego słowom?—rzucił Redbrook z uśmiechem. — Nie zapominaj pan, że przemawia tu zakamieniały kryminalista, obdarzony wrodzonym pociąganiem do kłamstwa.

— Dlaczegoż miałby kłamać? W jakim celu?—oburzył się żywo wielebny Karol Shadwell.—Ludzie nie zwykli uciekać się w tak szczytnych chwilach do fałszu i krzywoprzysięstwa. Wszak stał on tam oko w oko z majestatem Boga!

— W każdym razie rzecz to ciekawa—przyznał lekarz.—Z naukowego punktu widzenia byłoby faktem nader ważnym sprawdzić, czy mózg jego posiadał całą świadomość w strasznej tej chwili. Co do mnie, jestem tego przekonania, iż nie zachował on pełnej władzy umysłowej wtedy, gdy życie w nim zamierało, lecz że odzyskał ją w miarę, jak pod silnemi środkami trzeźwiącemi zaczął oddychać powoli, wracając stopniowo do życia.

Rozumowanie to niecierpliwiło kapelana.

— Słyszałem niejednokrotnie—zarzucił,—że ludzie, którzy, tonąc, nie utopili się jednak, lecz uratowani zostali, w chwili utraty przytomności i przez cały czas obezwładnienia dziwnego a zawsze tego samego doznają wrażenia. Czas i jego granice przestają istnieć dla nich, wypadki zaś przeszłego życia wracają i odzwierciadlają się w pamięci z plastyką faktów rzeczywistych, a w takim porządku, jaki im niegdyś losy nadały. Być więc może, iż w innych wypadkach śmierci gwałtownej te same objawiają się szczegóły.

— Zapewne—potwierdził lekarz.—Wyznaję jednak, iż wszelkie tego rodzaju opowiadania niewielką wiarę budzą we mnie; nie ufam ani ścisłej ich prawdzie, ani dokładności.

— Jeżeli wierzymy tylko w życie przyszłe, musimy zgodzić się w przypuszczeniu, iż jutrujenka

jego zaczyna się z chwilą utraty świadomości, czyli, mówiąc wyraźniej, z chwilą, gdy dusza człowieka opuści ciało, jako ziemską lepiankę. Po śmierci...

— Ależ Modena nie umarł wcale. Był to poprostu stan głębokiego omdlenia.

— A z kąd my to wiedzieć możemy?—prze-rwał ksiądz.—Czy pojmuje kto z nas, czym jest śmierć właściwie? Jedno tylko jest tu jasnym zupełnie: oto, że Bóg w miłosierdziu Swojem raczył dla człowieka tego cud okazać. Wszak moc ziem-ska chciała go zabić, chciała odebrać mu życie. Tymczasem on, jak Łazarz niegdyś, umarł napo-zór, a jednak zmartwychwstał nieledwie i żyje! Czy idziesz go odwiedzić, doktorze?

— Tak. Wszystko, co mi pan powiedziałeś, żywe we mnie budzi zajęcie.

— Ciesz się mnie to niezmiernie—odparł kape-lan z naciskiem, podając mu rękę na pożegnanie.

Stanąwszy na progu celi, Redbrook zastał więźnia w tej samej pozie. Leżał spokojnie, po-grążony w stanie półsnu. Ślady wielkiego wstrzą-snięcia minęły, kojąc podniecenie, lecz pozostawi-ły po sobie wielkie osłabienie fizyczne. Umysł jego błędził jeszcze w jakichś krainach niezna-nych, nie mogąc pojąć rachuby czasu, nie rozu-miejąc, że od dnia krwawej egzekucyi niewiele godzin minęło. Zwierciadło jego pamięci, jak gdy-by strzaskane lub mgłą zasnutę, odtwarzało wszel-

kie fakty życia przeszłego w bezładnem poplątaniu. Przytem, rzecz zdumiewająca, własne jego losy na przyszłość nie a nie nie zajmowały Modeny. Gdy doktor podsunął mu łagodnie myśl, iż oczekiwaniem jest ulaskawienie lub przynajmniej zmniejszenie jego kary, chory odpowiedział spokojnie:

— I cóż mi z tego, *signor*? Wszak jam trup nieżywy! Coby więc nie postanowili uczynić ze mną, to jedno jest pewne, że drugi raz umrzeć nie mogę.

— Jak widzę, umysł pański gruntownej uległ zmianie. Wszak dowodziłeś niedawno z siłą głębokiego przekonania, że śmierć jest unicestwieniem. Wszak szedłeś na szafot nawet z twierdzeniem tem na ustach.

— Doprawdy, *signor*? To dziwne, ja nic takiego nie pamiętam.

— Były to jednak pańskie słowa. Dziś zaś wierzysz już, jak widzę, że duch nasz po śmierci nowe rozpoczyna istnienie.

— Nie, *signor*, ja nie wierzę, lecz *wiem o tem na pewno*.

— I to cię nie przeraża? Skoro bowiem uważasz życie przyszłe za fakt, musisz uwzględnić i jego wyniki. Musisz pamiętać, że wraz z nieśmiertelnością duszy uznajemy zasadę kary za występki tu popełnione.

— *Signor*, alboż sądzisz, że kara ma nie była dostateczną? — podjął więzień ze smutnym uśmiechem. — Wszak kara ta i pokuta trwała szereg lat, jak wieczność długa, rozpoczęła się zaś natychmiast z chwilą mej śmierci na ziemi. Wczorajszej nocy jeszcze była tu Katarzyna. Przyszła z raną krwawą na szyi, przez nóż mój zadaną, i powiedziała mi, że kara naznaczona mi, choć długa, nie zawsze jednak trwać będzie. Płakała przytem, bardzo płakała, błagając, bym jej przebaczył. Nie wiedziała śnać, że m ja krzydę mą darował dawno, dawno temu, przed wielu już laty. Bóg mi tak kazał i wola Jego spełnioną została.

— No, ten człowiek ma najwidoczniej bzi-ka — zdecydował doktor, opuszczając więzienie.

Upłynęło tymczasem dni kilka, budząc wśród publiczności bardzo żywe zajęcie zarówno nieudaną egzekucją, jak dalszemi losami skazanego. Filantropi i ludzie uczuciowi głosowali jednomyślnie za ulaskawieniem. Sfery urzędowe oczekiwały na wysłanie delegata, naznaczonego przez ministerium sprawiedliwości. Dygnitarz ten zjechał wreszcie na miejsce i, przeprowadzając najściślejsze śledztwo, badał zarówno skazanego, jak dozorców, zarząd więzienia, lekarza i kapelana nawet.

Doktor Redbrook, korzystając z tego, zaopiniował jako ekspert, że Modena dotknięty został nieuleczalnym pomieszaniem zmysłów.

W dwa tygodnie później nadeszło ze stolicy rozporządzenie, orzekające, iż ze względu na zaszłe wypadki i stan zdrowia, w jakim pozostaje skazany, wyrok śmierci umarza się, Modena zaś przeniesionym zostanie do szpitala dla obłąkanych kryminalistów. W razie, gdyby miał odzyskać kiedykolwiek w pełni władze umysłowe, kara pierwotna zamienioną zostanie na dożywotnie więzienie.

Modena odzyskał tymczasem utracone siły fizyczne. Nie podniecając sztucznego wycieńczenia, spożywał podawane mu pokarmy, spał spokojnie i głęboko, budził się zaś ze wzmocnionymi siłami i orzeźwionym umysłem. Pomimo jednak tych korzystnych napozór warunków, czynił on ciągle wrażenie człowieka, pozostającego pod działaniem silnego narkotyku. Mówił dużo sam do siebie, przyczem spostrzegał zjawiska, niewidzialne zupełnie dla oka otaczających. Zachowanie jego względem dozorców więziennych było równocześnie uosobieniem słodyczy i uległości. Namiętne wybuchy gniewu, napady dawnej wściekłości, ponure wreszcie, dzikie okrucieństwo, z jakim zdradzał się przedtem niejednokrotnie, zniknęły, ustępując miejsca cichemu spokojowi.

— Najwyraźniejsze objawy obłąkania—mówił doktor.

— Skutki cudownego nawrócenia—dowodził kapelan.

Na parę dni przed ostatecznym rozporządzeniem, nadesłanem przez ministra sprawiedliwości, Modena powstał sam z łóżka, a ubrawszy się bez niczyjej pomocy, zaczął chodzić, zatopiony w myślach, wzdłuż ciasnej swej celi. Gdy dozorca przyniósł mu śniadanie, zatrzymał go i poprosił, czy nie mógłby dostać pióra, papieru i atramentu. Pragnął bowiem, jak utrzymywał, spisać własną swą spowiedź.

Żądanie to przedłożono dyrektorowi więzienia, który, na szczęście, odbywał właśnie długą naradę z kapelanem więziennym. Prośba Modeny, poparta gorąco przez jego kierownika duchownego, wysłuchaną została.

Cały ten dzień skazany pisał bez wytchnienia. Doktor, przyszedłszy go odwiedzić, jak zwykle, zastał chorego przy zajęciu, któremu oddawał się z wyrazem skupienia i spokoju.

— Co pan tak piszesz? — zapytał Redbrook.

— Spowiedź mą, *signor* — brzmiała łagodna odpowiedź więźnia.

— No, to co najmniej trud zbyteczny. Wszak szczegóły pańskiej zbrodni i pobudki, które stały się jej przyczyną, dostatecznie są wszystkim znane.

Modena patrzył na niego z nieukrywanem zdumieniem. Potem, przesunąwszy rękę po oczach,

jak gdyby sobie coś przypominał, lub natrętne odpedzał obrazy, odparł cicho:

— Nie tego nie pamiętam... Istnieją jednak fakty, które w najdrobniejszych mogą powtórzyć szczegółach, fakty, zaszły po mojej śmierci.. Te też właśnie pozwolono mi spisać.

— Notujesz je pan po włosku, czy po angielsku?—pytał lekarz.

— Po włosku, *signor*. W obcej mowie nie umiałbym wyrazić się swobodnie.

Gdy stróż więzienny przyszedł gasić światła, skazany pisał jeszcze. Na pierwszą jednak uwagę odłożył najspokojniej pióro, schował papiery i, zdjawszy suknie, udał się bez oporu na spoczynek.

Nazajutrz wszakże pisał od wczesnego już rana, a gdy słońce chyliło się ku zachodowi, ukończył, we włoskim języku, jedno z najciekawszych sprawozdań, jakie ręka ludzka kiedykolwiek na papier rzuciła.

ROZDZIAŁ X.

Oto opowiadanie, skreślone przez Modenę w celi skazanego, a najdokładniej z włoskiego przełożone:

— Gdy szafot zadrżał pod memi stopami, a stryczek szarpnął za gardło, ból ostry, krótki, zakończył życie, drgające jeszcze we mnie. W uszach mych zabrzmiał szum straszny, złowrogi — loskot fal oceanu, pokrywających i zatapiających mnie zwolna. W chwilę później, w chwilę po śmierci, zbudziłem się, odzyskując przytomność.

Był to jednak w chwilę później, czy po upływie niezliczonego szeregu lat? Na to nie umiem odpowiedzieć. Pojęcie czasu bowiem przestało istnieć dla mnie, pozostawiając mi jedynie głębokie poczucie osamotnienia i niedoli.

Wtem wrażenie smutku i opuszczenia zniknęło nagle, ustępując miejsca dziwnej lekkości, która jak fala morską przebiegła nade mną, unosząc mnie na swej powierzchni.

Skąpany w potokach światła, rozlewającego ciepło dokoła, olśniony niem, zatraciłem w jasnej powodzi tej myśl wszelką, zachowując poczucie życia jedynie.

Z płaczu przechodziłem do śmiechu i, wyciągając, jak dziecię, ramiona, rozglądałem się z ciekawością i trwogą na wsze strony. Równocześnie jakieś dziwne, nieznanne oblicza ukazywały się i niknęły dookoła mnie. Jedno z nich przypominało mi bladą, łagodną twarz mej matki, drugie zdawało się podobne do ciemnymi włosami okolonych rysów mojej niańki.

Spróbowałem mówić, głos mój jednak stracił dźwięk wszelki; krtań nie była w stanie jednego wyrzucić słowa.

Pomimo tego całe me jestestwo przejęte było do głębi uczuciem radości, miłości i światła. Śmiech wesoły brzmiał ze wszech stron. Delikatne jakieś ręce, ująwszy mnie pieściliwie, podniosły ku słońcu, a wraz z blaskiem jego olśnił mię widok zielonych wzgórz i pomarańczowych gajów mojej ojczyzny... Widziałem drzewa pokryte owocem; oczy me spoczęły na rozległych szmaragdowych winnicach, na turkusowo-błękitnej barwie morza...

— Maurizio! Maurizio!—wołały zewsząd głosy, szczęściem brzmiące.

I, jak w kalejdoskopie, wszystko zmieniło się znów nagle.

Światło i ciemność następowały po sobie, a ja takiegoż doznawałem przekształcenia. Jużto byłem dzieckiem, tarzającym się w piasku morskiego wybrzeża,—już wyrostkiem, spoczywającym w cieniu drzew,—już wreszcie młodzieńcem, stojącym wśród łez nad otwartą mogiłą matki.

Tłumy ludzi tymczasem przepływały obok, przyglądając mi się bacznie. Były tu twarze, które znałem dawniej; jedno piękne, drugie wstrętne nieledwie, łagodne i surowe, uśmiechnięte i zapłakane. Zanim jednak zdołałem do którejkolwiek

przemówić, zjawisko rozwiewało się, znajome zaś oblicze niknęło nagle. Doznałem wrażenia, jakie dręczyć musi tonących. Raz walczyłem, by utrzymać się przy życiu,—drugi raz, wydostawszy się na powierzchnię, pełną oddychałem piersią. A gdy tylko wypłynąłem, nade mną, jak ptak biały w przestworzu, unosiła się postać mej żony.

— Katarzyno! Katarzyno!—wołałem.

Lecz ona krążyła dalej i z tym śmiechem okrutnym, który znałem tak dobrze, wskazywała na gardło, krwią zbroczone.

Nagle zdało mi się, że żyję naprawdę. Widziadła ustąpiły, widnokrąg się wyjaśnił i w oświetleniu błękitnego, obłokami usianego nieba świat przedstawił mi się w dali niby mapa, liniami pokreślona. Wyciągnąłem błagalnie ku niebu ramiona, lecz w tej chwili zostałem ugodzony silnie, jak gdyby kamieniem.

Upadłem, wydając okrzyk przeraźliwy. Równocześnie palce nieugięte, żelazne, oplotły mi gardło i, dusząc mię, oddech tamowały stopniowo.

Zbudziłem się...

Dokoła mnie rozciągała się wielka równina czerwona i sucha, jak piaski pustyni; dalej zaś, dalej, u krańców zachodu, zniżala się na widnokręgu kula czarna, przez krwawe widniejąca opary. Nawprost zaś tego groźnego słońca, wśród ciemnego już tła zachodu, wyciągała ku niebu potworne

ramiona ohydna szubienica z bujającym się jeszcze ciałem wisielca, którego wydłużona sylwetka odcinała się brutalnie od barwy horyzontu i czerwonych piasków pustyni.

Wtedy to pojąłem, że duch mój przeszedł w krainę śmierci. Zrozumiałem, jakby jasnowidzeniem nagle obdarzony, że już umarłem, że ciało, chwiejące się na szubienicy, mojem jest ciałem. Umarłem... przestałem istnieć... a jednak żyłem i czułem, jak dawniej.

Dziwna lekkość opanowała moje jestestwo. Zdawało mi się, iż ciało straciło cały ciężar i ściśłość materii, że jak powietrze lotnem się stało. Dolne tylko członki, obdarzone wagą ołowiu, trzymały mię w miejscu i nie pozwalały wzlecieć w przestworze.

Cisza i martwota pustyni otaczały mnie tymczasem ze wszech stron. Nieboskłon ponury, pozbawiony życia, roztaczał nade mną łuk swój bezbarwny. Oddychałem z trudnością; atmosfera zbyt rozrzedzona, zbyt niepochwytne, nie odżywiała płuc moich, każąc mi dyszeć ciężko i walczyć o każdą odrobinę powietrza. Dusilem się nieledwie, a jednak umysł mój obejmował z całą jasnością jeden punkt główny, pojmował jeden cud: Oto śmierć nie odebrała mi świadomości, ani istnienia. Umarły, żyłem dalej....

Ksiądz więc nie skłamał; zgon ziemski nie był końcem wszech rzeczy. Nie—on tylko nowe życie zaczynał.

Usiadłem wśród piasku i, zakrywszy oczy, spróbowałem zebrać myśli. Pojęcia wszakże i wspomnienia tłoczyły się w głowie mej bezładnie; zmysły, przyćmione, jakby przytłoczone ciężarem, dziwnemu uległy poplątaniu.

Gdy, nie mogąc ująć ich w karby, odsłoniłem wreszcie źrenice, słońce zniknęło już dawno, a niebo usiane było gwiazdami. Piaski tylko, przybrawszy dziwną przejrzystość, odzwierciadlały promienie ich, jak w tafli lustrzanej, przyczem poziom pustyni zdawał się poruszać, podnosić i zniżać, niby fale morskiego przyływu.

Przerażony, lękałem się postąpić kroku naprzód, w obawie, iż ruchome te, lśniące a przezrocze piaski pochłoną mię, że zapadnę się przez nie gdzieś w rozpaczne głębie jakiegoś czarnego piekła.

Badałem płaszczynę, okalającą mnie zewsząd, chcąc odkryć ślady jakiegokolwiek życia lub czyjejkolwiek obecności. Nigdzie jednak ani ścięzynki, ani drzewa — nic, nic, prócz tajemniczej pustyni. Cień, rzucany przez szubienicę, i sylwetka mego ciała, mego trupa, zawieszzonego na szczycie szafotu, zniknęły wśród okalającej wszystko ciemności. Niebo tylko zdawało się żyć, drżąc, dyśząc i jaśniejąc niezliczonemi światłami. Taje-

mnieże, niepochwytnie, niedosięgnięone, wznosiło się nade mną we wspaniałym majestacie, takie same, jakie widywałem niejednokrotnie roztoczone nad sobą i ziemskim mym domem.

Nie doznawałem żadnego podziwu, żadnego zdumienia. Przejmowało mię tylko uczucie grozy i przerażenia, obawy i niewytlumaczonego lęku.

Życie przeszłe stawało równocześnie przed memi oczyma, lecz jak coś niepochwytnego, coś, co nie przybierało nigdy szat rzeczywistości. Były to widziadła tylko, które, splątane, zmieszane, bezładne, przesuwwały się żalobną procesją przed memi oczyma, aż, zapatrzony w ich szeregi, nie wreszcie nie pamiętałem, nie pojąć nie byłem w stanie.

I stojąc tak, zagubiony, samotny, doznałem nagle wrażenia, że inna postać ludzka ukazała się w przestworzu.

Na samym skraju widnokręgu, na zachodnim brzegu przejrzystych, ruchomych piasków zarysował się cień, kontur, do drzewa palmowego podobny. Obok niego zaś stała postać z twarzą w dłoniach ukrytą. Poza nią, jak tło krwawe, służące do uwydatnienia obrazu, niknął ostatni obłok szkarłatny, zwiastun zaszłego już słońca, zapowiedź wieczoru i zbliżających się ciemności nocy.

Patrzyłem na wschód, ku niebu i ku ziemi, lecz nigdzie nie ukazał się zarys innej istoty, nigdzie śladu życia nie było. I, ze wzrokiem wlepionym

w ową postać tajemniczą, posłyszałem nagle głos, płynący z przestworza—głos, wymawiający wyraźnie moje imię.

Drgnąłem i słuchałem dalej, a wielka bojaźń przejęła całą mą istotę, serce zaś bić przestało.

— Maurizio Modena!—zabrzmiało powtórnie w powietrzu.

Nie wiedziałem, z kąd głos ten płynie: z niebios, roziskrzonych gwiazd tysiącem, czy z piasków ruchomych a lśniących. Co więcej, zdawało mi się, że go raczej czuję, niż słyszę, oraz że na czole mem spoczęło równocześnie dotknięcie ręki zimnej, jakby z lodu wykutej.

— Kto mię woła?—rzuciłem rozpacznie.

Na krzyk, rozbrzmiewający daleko wśród nocy, postać na skraju widnokregu podniosła się i, wyciągając rękę, zawezwała mię ruchem rozkazującym ku sobie. Wydawała się zaś dziwnie wyniosła, dziwnie majestatyczna i przerażająca w tej mistycznej purpurze krwawego oświecenia.

Jakby nieprzepartą pociągnięty siłą, szedłem z wyciągniętymi rękami, potykając się, a wstrząsany obawą, że lada chwila zapadnę, niknąc na zawsze w głębi tych fal ruchomych. Szedłem ku przywołującemu mnie olbrzymowi, wraz zaś ze mną poruszały się w tymże kierunku gwiazdy niebieskie, przerzucając się na widnokregu z chyżością iskier płomiennych. Biegł wreszcie czer-

wony, ognisty piasek, rzucając mnie, niby fala morską, coraz dalej i dalej. A gdy, niepewny, zatrzymałem się na chwilę, piasek ten otaczał mnie zwartem kołem i, grożąc pochłonięciem, naprzód wciąż posuwał.

Chociaż zaś w tym ruchu bezwiednym poruszałem się z niezwykłą szybkością, owa postać, wzywająca mnie gestem rozkazu, wciąż jednakowo oddaloną była. Wyprostowana, z dłonią wyciągniętą, patrzyła na mnie zimno, nieubłaganie. Wtem niebo rzuciło blask nagły na jej oblicze, a ja nieszczęsny pochyliłem się w przerażeniu: była to bowiem Katarzyna, żona moja, którą własną zamordowałem ręką.

Twarz jej szczupłą, delikatną a marmurowo blada, taką, jaką widziałem ją po raz ostatni na łożu śmierci, straszonym przejęła mnie lękiem. Cofnąłem się w przerażeniu, które wzrosło jeszcze, gdy postać ta, poruszywszy się, zaczęła z szybkością wiatru szybować ku mnie.

Stała wreszcie tuż, tuż, z wyciągniętymi dłońmi, ja zaś widziałem źrenice jej, bielmem śmierci zaszłe, i krew, spływającą strumieniem szkarłatnym z piersi obnażonych, a zamienionych w jedną ranę ohydną.

Spojrzałem w oczy jej, lecz pod wzrokiem moim wzdrygnęła się tylko dreszczem wstrętu i obu rękami przysłoniła rany krwawiące, przez

sztylet mój zadane; na usta jej zaś wybiegł okrzyk bólu. A ja, ja, jak łyżwiarz na ostrzu żelaza przez chwilę zatrzymany, stałem wrosły w ziemię, podczas gdy niebo, gwiazdy i ów piasek lśniący przebiegały szybko obok mnie, ginąc w przestrzeni.

Pozostałem ja tylko i kobieta, którą zamordowałem niegdys.

Naraz w umyśle mym zbudziło się pojęcie całej jej piękności i całego występku. Wraz zaś z pojęciem tem zawrzało w sercu dawne poczucie krwawej obelgi i oburzenia. Chciałem się rzucić na nią; przerażenie jednak nad własnym czynem przykuło mię do miejsca.

I staliśmy nawprost siebie, przejęci staremi, ze świata uniesionemi namiętnościami. Ona zalekniona, lecz straszna w podszeptcie głuchego buntu; ja pełen nienawiści, lecz ulegający obawie, która ruchy me paraliżowała.

Jak długo trwać to mogło — nie wiem. Pamiętam tylko, że, rzuciwszy okrzyk przeraźliwy, zaczęła uciekać; ja zaś biegłem za nią w dzikiej pogoni. Pędziła z szybkością strzały, z chyżością spadających gwiazd niebieskich.

Sunąc za nią, usiłowałem pochwycić rąbek szaty chociaż; wymykała mi się wszakże za każdym razem, a znużona padła twarzą na ziemię, martwa, nieruchoma, a jak gładz mileżąca. Zatrzy-

many, stałem nad nią, niby wówczas, za życia, dzierżąc w ręku nóż, krwią zboczony.

Pochyliłem się wreszcie, a zwróciwszy ciało jej twarzą do światła, ręce na martwej piersi skrzyżowałem, szepcząc równocześnie:

— Udało się! Umarła! Nie będzie już cierpieć, ani grzeszyć...

Zaledwo jednak słowa te wymówiłem, postać, sztywna przed chwilą, zerwała się i uciekła ode mnie z okrzykiem, który brzmiał jak śmiech szydery. Pozbawiony świadomości, nie wiedząc nawet o tem, biegłem w dzikiej zaciętości za nią, godząc wciąż sztyletem, w krwi zboczonym.

I znów upadła, i znów leżała martwa; potem powstawszy, uciekała przede mną, a ja goniłem ją, sztyletując zawzięcie. Ilokrotnie się to powtórzyło—nie mam pojęcia; sądzę wszakże, iż owa scena straszna, mordercza, trwała długie, długie lata. Pora tylko zdawała się ta sama i miejsce to samo; zabijałem ją ciągle, uśmiercałem niezliczoną ilość razy — ona zaś wciąż żyła.

Wyczerpany, zawołałem wreszcie:

— Nie mogę jej zamordować!

I stałem, patrząc w świetle gwiazd na ciało jej, u stóp mych leżące.

Wtedy Katarzyna, podniósłszy nagle oczy, a zdumiona, jak gdyby mię po raz pierwszy ujrzała, zapytała zeicha:

— Po co tu przyszedłeś, Maurizio?

Głos jej stłumiony brzmiał jakby z oddalenia, ręce przyciskały rany, z których krew spływała.

Nie byłem w stanie żadnej dać odpowiedzi. Wzamin tylko posłyszałem złowrogi dźwięk dzwonu; podniósłszy zaś oczy, ujrzałem znów na skraju horyzontu szubienicę z ciałem wisielca, z ciałem mojem, na stryczku zawisłem.

Oczy Katarzyny, poszedłszy śladem mego wzroku, zatrzymały się na tym samym złowieszczym obrazie.

— Co to za szafot? Kto tam wisi?—zapytała.

Tym razem nie wahałem się z odpowiedzią.

— To ja, a raczej trup mój! — odparłem. — Powieszono mię, stracono na szubienicy, przed wielu, wielu laty.

Katarzyna zwróciła ku mnie wzrok przerażony i patrzyła długo w samą głąb mego serca. A łzy, ze źrenic mych spływające, spadały na zimne jej usta, z których wraz z jękiem cichym wybiegły słowa:

— Krew za krew!... Taką jest wola Pana!..

Zaśmiałem się głośno, sądząc, żeśmy oboje przy życiu jeszcze. Spojrzenie wszakże, ku górze zwrócone, śmiech ten zmroziło mi na ustach, na ciemnym bowiem niebie szybowwały gwiazdy płomienne, z chyżością iskier, przez wielkie ognisko rzuconych.

Kobieta mówiła tymczasem:

— Czekałam tak długo w mogile, przez grobowe wstrzymana zapory, czekałam, aż nareszcie ujrzałam ciebie. Maurizio, czy wiesz, że i jam umarła?

Wysłuchałem słów tych bez zdumienia. Nie dziwiło mię również, że jesteśmy sami, we dwoje, wśród płaszczyzny niezmierzonej i pustej. Doznawałem jednego tylko uczucia: oto obawiałem się postaci tej cichej a smutnej; lękałem się jej, jak wtedy, gdy padła u stóp mych, ducha pozbawiona. W głowie przytem krążyło mi niejasne pojęcie, żeśmy gdzieś dawno, na innym jakimś świecie, mężem i żoną byli, że kobieta ta oplatała szyję moję pieszczotliwie ramionami, że mi na piersi z ufnością głowę składała... Nienawidziłem ją wtedy! Nienawidziłem za piękność jej i zdradę.

I nagle całe życie minione falą niepochwytną przebiegło przed memi oczami. Gdy zaś olśniony wzrok podniosłem, Katarzyna stała już opodal, wzywając mię ruchem ręki ku sobie.

— Chodź!—zawołała.

Szedłem więc za nią szybko przez morze piasku. Sunęliśmy jak dwa cienie, dwie mary z ciemnicy w ciemnicę, z pustki w pustkę, bez końca, bez wytchnienia. Na skraju wreszcie zarysował się cień pojedynczo stojącej palmy, u pnia

której, z ręką pod głowę podłożoną, spoczywał młody człowiek, w głębokim śnie pograżony.

Tu zatrzymała się kobieta.

Ta postać młodzieńcza, rzucona samotnie pod palmę pustyni, nieobcą mi była. Poznałem ją, nie patrząc nawet. A kiedy, pochyliwszy się, odwróciłem twarz leżącego ku górze, tak, aby ją światło gwiazd oblało, wzrok mój napotkał oblicze blade, krwią zbroczone, i źrenice stężałe nieruchomo a bielmem śmierci zaszele.

Gdy jednak wykrzyknąłem ze zgrozą jego imię, powstał; ujrawszy mię zaś, cofnął się żywo i zasłonił rękami, jak tarczą od ciosu chroniącą.

Dłoń moja podniosła się tymczasem gwałtownie, poskoczyłem, i, sam o tem nie wiedząc, uderzyłem weń z wściekłością pięścią zaciśniętą, w której sądziłem, że nóż trzymam.

Zaczął uciekać, a ja goniłem go, i, jak przedtem kobieta, upadał pod nawałem mych razów; podnosząc się zaś, biegł coraz dalej, coraz chyżej, ze zwinnością istoty żyjącej. Nie wiem, jak długo pogoń ta trwała; myślę jednak, że przez liczne, śmiertelnie nużące lata. Pora tylko zdawała się ta sama i miejsce to samo; zabijałem go, uśmiercałem niezliczoną ilość razy, — człowiek ten zaś żył i żył ciągle.

Aż znużony zawołałem wreszcie:

— Nie, ja go nie jestem w stanie zamordować!

I stałem, patrząc w milczeniu na postać jego, światłem gwiazd oblaną.

Przyglądaliśmy się sobie wzajemnie wszyscy troje, jak ludzie, którzy po raz pierwszy się widzą. Rzuciwszy jednak w bok spojrzenie, ujrzałem w oddali ten sam cień szubienicy. Oni zaś, idąc za wzrokiem mym, zawołali równocześnie:

— Co to za szafot? Kto tam wisi?

Tę samą dałem odpowiedź:

— To ja, a raczej trup mój! Powieszono mię, skazano na stryczek, przed wielu, wielu laty!

Oni zaś oboje spojrzeli badawczo w głąb' mych źrenic i odparli współcześnie, głosem stłumionym:

— Krew za krew! Tak Bóg rozkazał!

Podniósłszy oczy, ujrzałem gwiazdy szybujące w oddali i całe niebo błyszczące w ruchu odwiecznym, jak fale wodospadu. Z ust mych wybiegło pytanie:

— Umarłem, a jednak żyję! Katarzyno, powiedz mi, gdzie jestem? Co to za miejsce?

I znów odpowiedzieli mi razem:

— Nie wiemy. Wszak i my, Maurizio, ponieśliśmy śmierć także.

Spojrzałem na nich. Byli tak bladzi, tak wynędzniali i smutni, że litość mię zdjęła. Zdawało mi się, iż są oni wątłem odbiciem własnej mej niedoli.

Zapłakałem—ku wielkiemu zaś memu zdumieniu cienie te łkać również zaczęły.

Wtedy Katarzyna powtórzyła:

— Czekałam na ciebie, Maurizio.

A towarzysz jej dodał:

— I ja również czekałem na ciebie, Maurizio Modena.

Słowa ich nie dziwiły mię bynajmniej. Znajdowałem je naturalnemi, tak jak słusznem było, iż wobec moich łez i oni płakali także. Stara tylko nienawiść ku nim, odczuwana z początku, przez sen niby, zaczęła coraz silniej ujawniać się w mej pamięci, budząc wszystkie sprężyny dawnego życia i ołowianym ciężarem spadając na serce. Oni tymczasem, spojrzawszy na mnie oboje, mówili współcześnie:

— Maurizio, nam tak straszno!

Wtedy, jak gdyby umysł mój nagle rozjaśniło światło, wyprostowałem się, doznając wrażenia lekkości i siły, a zapatrzony na gwiazdzistą pustynię i niebo falujące, zawołałem z głębokim przekonaniem:

— Nie umarliśmy! Nie padliśmy ofiarą śmierci, bo śmierć nie istnieje! Ksiądz nie skłamał.. W przestrzeniach tych Bóg się znajdować musi. Chodźmy, próbujmy Go odszukać.

Ożywiony poczuciem własnej siły, szedłem naprzód, wzywając ich za sobą. Katarzyna i to-

warzysz jej, znużeni, postępowali za mną zwolna. Gdy zaś chciałem znaglić ich do pośpiechu, kobieta, wyczerpana zupełnie, niby bryła martwa, na ziemię runęła.

Wróciłem natychmiast; osunąwszy się zaś przy niej na kolana, spostrzegłem, iż leży u stóp mych, jak wtedy, gdym sztylet w sercu jej utopił. Długie jej rzęsy opadały na policzki, ręce skrzyżowane były na piersiach, krwią zbroczonych.

A *tamten* stał obok, powtarzając z łkaniem:

— Zapóźno, Modeno, zapóźno! Pozostaw ją tutaj, my zaś pójdziemy dalej.

Lecz mnie ogarnęło nagle dziwne współczucie dla kobiety samotnej. Była to ta sama litość, jakiej doznałem, gdy zamordowana leżała taka cicha, taka biała i piękna, na zimnem łożu śmierci. Dotknąłem jej, próbując ze snu tego obudzić, lecz, martwa i sztywna, nie poruszyła się wcale.

Tamten odbiegł tymczasem i, zatrzymując się w oddali, dawał znaki, abym dążył za nim. Podniosłem się, chcąc spełnić jego wolę, lecz ciężar ołowiu przykuł mi nagle nogi do ziemi, a pamięć dawnego życia, jak fala powrotna, umysł zalewała. Wróciłem więc; ukłękawszy zaś przy Katarzynie, złożyłem pocałunek na czole jej marmurowo zimnem.

Pocałunek ten dziwne wywarł na mnie wrażenie. Oto pod wpływem jego opanowała mię

chęć podjęcia ciała jej i uniesienia go z sobą w dal, w przestrzeń nieznaną, do której sam dążyłem. Podniecony pragnieniem tem, tłumaczyłem sobie:

— Nie mogę przecież zostawić jej tu samej jednej wśród tej pustyni piaszczystej. Przebudziwszy się, na widok nieba tylko, silnie przestraszyłaby się mogła.

Pochyliłem się więc i uniosłem ją delikatnie w ramionach mych, drżąc pod brzemieniem ciężkiego jej ciała. W miarę jednak jak postępowałem naprzód, Katarzyna stawała się coraz lżejszą, nogi zaś moje coraz bardziej chyżemi, aż wreszcie z szybkością powietrza poszybowałem w dal, wyprzedzając dawnego mego towarzysza, który o kawał drogi za mną pozostał.

I, biegnąc tak, doznałem nieznanego mi uczucia lekkości i spokoju. Zdawało mi się, iż mógłbym iść przez wieki całe, żadnego nie doznając znużenia. Wtem nagle poczułem, iż kobieta porusza się w mych ramionach, że oddychać zaczyna. Żyła więc, żyła!

Złożyłem ją lekko na ziemi i pochylony stałem, śledząc oznaki powracającej przytomności. Uśmiechnęła się wreszcie, a wyciągnąwszy rękę, dotknęła nią lekko mych włosów.

Ta niema pieśczoła odjęła mi cały spokój— upadłem z jękiem obok niej na kolana, by wśród łkań bolesnych imię jej powtarzać.

Wtedy Katarzyna zerwała się ku mnie i wyrzekła:

— Jaki on kawał drogi za nami pozostał! Idź po niego, Maurizio!

Obejrzałem się, lecz nie mogłem nigdzie dojrzeć śladu nawet po tym, którego zostawiliśmy wśród pustyni. Zwróciwszy się więc do Katarzyny, odparłem:

— Skoro go niema, chodźmy we dwoje dalej.

Gdy jednak spróbowałem postąpić naprzód, nogi moje nabrały znów ciężaru ołowiu, a życie zamarło napowrót we mnie, ustępując miejsca martwocie śmierci. Kobieta zaś powtórzyła tylko:

— Jaki on kawał drogi pozostał za nami! Wróć po niego, Maurizio.

Z ostatniem tem słowem biegłem już, biegłem przez piaski, jak długo—nie wiem, lecz zdawało mi się, iż poszukiwania te lata i lata trwają. Wiedziałem wszakże, że nie wolno mi przystanąć, dopóki go nie odnajdę. Ujrzałem go nakoniec. Leżał w cieniu tej samej palmy; pochyliwszy się nad nim, zobaczyłem, że nie żyje. Dotknąłem go, lecz był to już tylko trup sztywny i zimny. W dali zaś, w dali, widziałem postać Katarzyny, która stała wyniosła, wzywając mnie do powrotu.

Pochyliłem się więc, i unosząc go w ramionach, jak przedtem kobietę, zabrałem z sobą ciało, które przy każdym kroku stawało się lżejszem, coraz lżej-

szem, aż wreszcie nadało mi chyżość wiatru, pochylającego fale zbożowe. Zdolny do lotu, mogącego iść z ptakiem w zawody, a silny niezmiernie, dotarłem wreszcie miejsca, gdzie czekała na nas Katarzyna.

Postawiony na ziemi, *on* zbudził się i uśmiechnął do mnie.

Podczas gdy patrzyliśmy wszyscy troje na siebie, a niebo błyszczało jak podczas nocy mroźnej, w oddali, na krańcu horyzontu zaczęło powstawać światło delikatne, zbliżone do jutrzenki budzącego się dnia.

Wtedy to Katarzyna wyrzekła:

— Umarliśmy, lecz, zaprawdę, śmierć nie istnieje. Chodźmy dalej razem, Maurizio.

I poszliśmy. Ja wskazywałem drogę, oni zaś postępowali za mną, a wędrówka ta lata, lata trwała. Wybrzeża pustyni stawały się przytem zwolna coraz jaśniejszemi, ja zaś czułem, że lekkość ma i siła, zamiast wyczerpać się, wzrastają z każdą chwilą. Gdy zdumiony tem obejrzałem się, oni oboje, zbyt znuzeni, by iść dalej, kawał drogi pozostali za mną.

Wtem zabłysło przede mną dziwne światło, niby pierwsze blaski poranku, a głosy jakieś wołały w przestworzu:

— Śpiesz się! Śpiesz się!

I w dali, tam, gdzie świat zwykł widzieć skraj zachodu, Złota Brama rozwarła się przede mną. Obejrzałem się. Katarzyna wraz z towarzyszem swym zniknęła wśród ciemności, nad pustynią zaś niebo całe zdawało się poruszać, szybując ku Bramie świetlanej. Ogarnął mnie lęk dziwny.

Pamięć przeszłego życia przesunęła się równocześnie falą żywą przed moim umysłem. Widziałem Katarzynę taką, jaką ją ujrzałem niegdyś po raz pierwszy: młodą, piękną i powabną; słyszałem odgłos naszych dzwonów weselnych i myślałem zarazem:

— Nie mogła umrzeć, bo śmierć nie istnieje. Wróć i odszukam ją. Jeżeli jest zbyt znudzona, by iść o własnych siłach, wezmę ją w ramiona i sam poniosę dalej.

Zanim zaś nad myślą tą zastanowić się mogłem, biegłem już od światła ku ciemności, wołając:

— Katarzyno! Katarzyno!

Poszukiwanie to mogło się nieskończonem okazać, lecz wiedziałem, że nie odzyskam spokoju, dopóki jej nie odnajdę. Odnalazłem wreszcie. Leżała biała, martwa, obok niego, bladego i martwego także, oboje krwawymi ranami pokryci, oboje zimni i umarli.

Wtedy to przypomniało mi się nagle, że ja ich przecież zabiłem. Przerażony więc, stałem nad nimi, pełen głębokiej odrazy dla przeszłego

mego życia. Łzy jak grad staczały się po moich licach. Żal mi ich było, żal tych ludzi młodych, tak spokojnych i smutnych w śnie śmiertelnym. Obejrzałem się dokoła. Prócz jednak bezmiernych piasków pustyni i rozpostartego nad niemi, rucho-mego sklepienia niebios, nic nigdzie, nic, żadnego śladu życia. W dali tylko, w dali, drobna jak czubek szpilki, nęciła blaskiem swym Brama Złota.

Wtedy rzekłem:

— Bóg istnieć musi. Ksiądz nie kłamał... Bóg istnieje. A jednak, choć samotnie rzucony tutaj, szczerze żaluję przeszłości, bez względu, iż żalu tego nikt nie słyszy. Śmierć czczem jest słowem, czuję to, lecz niemniej umrzećbym pragnął!

Gdy wymawiałem powyższe wyrazy, zapatrzony w nich oboje, oni zbudzili się nagle; podnosząc zaś wzrok ku mnie, zapytali łągodnie:

— Czy to ty, Maurizio?

Zdołałem odpowiedzieć im głosem złamanym:

— Tak, to ja.

Wtenczas, spojrzawszy się na siebie, wyszeptali razem:

— Krew za krew. Taka wola Pana.

Upadłem, przerażony, przy nich na kolana, prosząc i błagając, aby szli ze mną. Za całą odpowiedź Katarzyna ujęła rękę mą i położyła ją na piersi zranionej, tak, iż czułem krew ciepłą, spły-

wającą mi po palcach; tamten zaś uśmiechnął się, wołając:

— Po co przyszedłeś tutaj, Maurizio Modena? Nie miałem tłumaczenia.

— Nie wiem — odparłem. — Umarłem, lecz żyję. Boże, ulituj się nade mną!

Powstali wspólnie, a stanąwszy obok mnie, powtórzyli:

— Boże, ulituj się nad nami!

I wszyscy troje upadliśmy na kolana, przeświadczeni, że jesteśmy sami tylko na świecie całym.

ROZDZIAŁ XI.

Dziwnem się to może wyda tym, którzy nigdy bram śmierci nie przekroczyli, bo i mnie dziś dziwnem zdaje się wszystko, co w oddalonych tych czasach miało miejsce. Nigdy, aż do owej chwili krańcowej rozpacz, nie czułem tak silnie, że istnieć musi siła wszechpotężna, którą księży Bogiem nazywają. Klęcząc, wraz z tamtymi, jak oni zgnębiony i zwątpieniem przejęty, wśród łkań i płaczu, obejrzałem się dokoła. Przedemną roztaczała się pustka straszna. Gwiazdy zdawały się świecić w próżni; pod nami zaś przez piasek przejrzysty

widać było otchłań, przepaść, napełnioną srebrnym blaskiem księżyca, wschodzącego nad ziemią.

Wkrótce jednak spostrzegłem pomyłkę. Ta jasność nie z zewnętrznego świata przychodziła, lecz wewnątrz mnie istniała, zapalając się zwolna, rozszerzając stopniowo, jak pierwsze blaski świtu na lśniących falach oceanu. Ów odbłysek promiennej jutrzenki koił rozpacz głuchą. Łzy staczały się jeszcze po moich policzkach, lecz spływały cicho, przejmując całą istność moję uczuciem błogości i spokoju. Stałem się przytem lekkim jak powietrze, a zwróciwszy oczy na zachód, ujrzałem Bramę Złotą, podwójnym blaskiem jaśniejącą.

Katarzyna wraz z *nim* w tym samym spoglądali kierunku. Wykrzyknęliśmy też jednogłośnie:
— Dążmy tam! do jasności tej!

Zaledwo słowa te zostały wymówione, siła jakaś nieznaną uniosła nas w górę i, jak wir wody zdźbło słomy porywa, z taką szybkością niosąc nas, niby na rękach, skierowała w stronę, w którą niebiosa i ziemia, wszystko falować się zdawało.

Brama też z każdą chwilą stawała się jaśniejszą i bliższą, aż, przybywszy na miejsce, zostaliśmy rzuceni u stóp jej, jak ziele, przez falę morską na brzeg przyniesione.

Katarzyna i towarzysz jej legli martwi. Ja tylko, wyprostowany, patrzyłem na Bramę jasności,

obok której stał w szacie białej Człowiek, na krzyżu niegdyś przez ludzi przybity. Ujrzawszy nas, powtórzył On trzykrotnie moje imię, wołając:

— Śpiesz się, Maurizio! Czekają tu z sądem na ciebie! i tak już opóźniłeś się zbyt długo.

Jedno baczne spojrzenie dało mi poznać oblicze, tylokrotnie na obrazach widywane: smutna i łagodna twarz młodego mężczyzny o wielkich oczach, które zdawały się chcieć złagodzić jasność olśniewającą, jaką na mnie rzuciły.

I, pomimo iż przedtem wymawiał moje imię, zapytał teraz:

— Jak się nazywasz?

Ja zaś odparłem:

— Maurizio Modena.

Wtedy On wyrzekł:

— Co trzymasz w dłoni, Maurizio?

Spojrzałem na ręce własne, dziwnego doznając przerażenia. Bo oto prawica ma, krwią zbroczona, dzierżyła jeszcze nóż, którym zabiłem Katarzynę i zamordowałem drugiego, u stóp mych w tej chwili leżącego człowieka.

— Chodź! — zawołał On, przywołując mnie ku sobie.

Pobiegnęłam ku Niemu—upadłszy zaś na kolana u samych Wrót jasności, poczułam, iż stare me życie wkłada na mnie w tej chwili ciężar straszny, który, niby obręcze żelazne, skuwa mię i do

ziemi przybija. On wtedy, opuściwszy miejsce swe, wyszedł poza koło świetlane i stanął, patrząc na mnie.

— Nie skłamano! — zawołałem. — Panie, oto ja, który umarłem, żyję napowrót. Objaw Twoję wolę.

W miejsce odpowiedzi zapytał:

— Gdzie jest Katarzyna, żona twoja?

Milczałem; On mówił dalej:

— Gdzie ten, którego zabiłeś?

I znów milczałem. Obejrzawszy się jednak poza siebie, spostrzegłem, że tamci oboje powstali i, jakby przez sen, jakby bezwiednie, patrzyli w tę stronę. Wtedy zawołałem głośno:

— Katarzyno! Katarzyno!

Zbliżyła się zwolna, wraz z tym drugim, postępującym za nią. Gdy jednak ujrzeni postać Jego, stojącą nade mną, zatrzymali się zdala, lekkiem zdjęci.

Ja więc zapytałem:

— Panie, powiedz, gdzie jesteśmy?

On zaś objaśnił:

— U bram śmierci, Maurizio.

Lecz ja roześmiałem się, wołając:

— Panie, śmierć nie istnieje! Wieki, wieki przepłynęły nade mną, a ja żyję.

Obie postacie, stojące za mną, zdawały się powtarzać:

— Panie! Śmierć nie istnieje. Wieki, wieki przepłynęły nad nami, my zaś żyjemy.

Wtedy to, chociaż powieki me spuszczone były, poczułem, jak światło Jego spojrzenia zwróciło się na mnie, gdy mówił:

— Musi być śmierć tam, gdzie sąd istnieje. Co to za krew plami twe ręce, Maurizio?

Przyznałem się natychmiast:

— To krew ofiar, zamordowanych przeze mnie.

I poczułem lekkie dotknięcie dłoni Jego na mych włosach i posłyszałem głos dobrotliwy:

— Czy żałujesz czynu twego, Maurizio?

A podczas gdy z twarzą w dłoniach ukrytą płakałem rzewnie, On pochylił się nade mną, tchnieniem swem ożywiając mię. Wtedy życie me stare prysnęło, opadło, jak suknia zbrukana, ja zaś, odrodzony, stanąłem przed Nim, patrząc w oblicze Jego jasne, anielsko piękne. Obok mnie zaś, drżąc z podziwu, stali: Katarzyna i ten drugi; aż nagle, z poza bramy owej, zabrzmiała muzyka głosów niezliczonych i rozległo się wołanie:

— Chodźcie, chodźcie!

Lecz i wtedy jeszcze piaski otaczające poruszyły się nagle, opasując nas zewsząd falą nieprzebytą. Podczas zaś gdy w śmiertelnej trwodze walczyliśmy z niemi, Ten, którego widzieliśmy u bram jasności, stąpając po ich powierzchni, oddalał się, zostawiwszy nas na pastwę zagłady.

Szarpałem się, by zaczerpnąć powietrza, by tchu pochwycić, lecz nogi, niby ołów ciężkie, ciągnęły mnie na dół. Zapadałem się też coraz głębiej, głębiej, a łyzy dusiły mię w gardle, podczas gdy ciemność przysłaniała źrenice. Zmysły me wreszcie przestały odczuwać wrażenia i utraciłem świadomość. Odzyskawszy ją zaś, znalazłem się tu, w tej celi, żywy a jednak umarły. I ja, Maurizio Modena, za zbrodnię mą przez ludzi na śmierć skazany, pomimo sądu ich i wyroku, żyć nie przestałem.

ROZDZIAŁ XII.

Tu się kończyło opowiadanie. Doszedłszy do ostatniej strony, nieszczęsny skazaniec wręczył rękopis kapelanowi więziennemu, który, wobec nieznamomości włoskiego języka, przekazał go z kolei doktorowi Redbrook. Lekarz, zabrawszy niezwykle to sprawozdanie z sobą do domu, kończył je właśnie czytać w chwili, gdyśmy rozpoczęli niniejszą opowieść. Wtedy to, zawezwany przez jednego z dozorców więzienia, a wstrząśnięty jeszcze wrażeniami eks-wisielca, pośpieszył do celi, przez niego zajmowanej.

Modena, podrażniony, rzucił się w ciasnej izdebce, jak zwierzę dzikie, wydając straszne

histeryczne krzyki. Rysy jego, postarzałe o lat wiele, zmieniły się do niepoznania; usta poruszały się nerwowo, oczy i policzki zapadły, jak gdyby pod działaniem długotrwałego głodu. Ujrzawszy Redbrook'a, rzucił się wściekle, nie ukrywając bynajmniej doznanego zawodu.

— Ja do pana nie mam żadnego interesu— wołał.—Ja z tamtym chciałem się widzieć!

— To znaczy: z kapelanem — podjął lekarz spokojnie.—Sądziłem, że jest on tutaj.

Dozorca objaśnił dopiero, iż młody duchowny opuścił celę więźnia przed półgodziną zaledwo, pozostawiając go w stanie zupełnego spokoju. Po wyjściu jego wszakże Modena uległ gwałtownemu histerycznemu atakowi, który zdawał się wzmaczać z każdą chwilą.

— Uspokój-że się — tłumaczył łagodnie Redbrook. — Czynimy dla twego dobra wszystko, co tylko jest możliwem. Wyrok zostanie prawdopodobnie umorzony.

Więzień zaśmiał się dziwnie, dziko nieledwie.

— Pan chyba nie rozumiesz!—zawołał.—Ja nie prosiłem o łaskę i nie przyjmę jej nawet. Skazaliście mnie na śmierć, umarłem raz, chcę więc umrzeć powtórnie. Dlaczego mnie tu trzymacie? Czemu mnie torturujecie w tem piekle? Żądam sprawiedliwości tylko, sprawiedliwości.

— Otrzymasz ją!

— Ach, *signor*, szydzisz chyba ze mnie! Więc to sprawiedliwość męczyć mnie tutaj i karać okrutnie wtedy, gdy sam Bóg mi przebaczył? Za prawdę, mówię panu, iż więzienie to grobem jest dla mnie; chcę więc zerwać pęta mogilne, a wy na to nie pozwalacie. Zeszłej jeszcze nocy głos jakiś powtarzał mi tu, w tej celi: „Śmierć nie istnieje! Jest bowiem tylko wstępem do innego życia! Zabij się więc, Modeno!“ Lecz zrozumiałem, że to zły duch mnie kusi, i miałem dość siły, by go nie posłuchać.

— Cóż chcesz zatem, aby dla ciebie uczyniono?

— Sprawiedliwości pragnę jedynie. Wszak skazano mnie na śmierć, niech więc umrę! Ty sam, *signor*, wyrok słyszałeś. Mają mnie wyprowadzić z celi tej na plac egzekucyi, wieść pod szafot i, założywszy stryczek na szyję, powiesić na szubienicy, powiesić, dopóki nie skonam, dopóki nie wyzionę ducha...

— Wiesz przecież, co się stało. Wskutek strasznego wypadku...

Dziki okrzyk Modeny przerwał dalsze jego słowa. Skazany bił rękami w powietrzu, a gestykulując jak szalenciec, wołał:

— *Signor*, nie męcz mnie, nie torturuj! Zabijasz mnie, lecz śmierć to zbyt wolna, zbyt wolna! Gdzie kat? Wołajcie kata! Oprawcy żądam, opraw-

wcy wzywam! Rozbijajcie dzwony i módlcie się za mnie! Jestem gotów, a czas już, czas! Nie mogę pozostawać tu dłużej!

Głos więźnia brzmiał naprzemiennie dzikim, niepohamowanym protestem i namiętym, pełnym pokory błaganiem.

Doktor Redbrook nie mógł się opędzić wrażeniu, iż ma przed sobą szaleńca w pierwszym napadzie furii. Modena, nieprzytomny z miotającego nim wzruszenia, rozerwał wściekłym ruchem koszulę na piersiach, obnażając szyję, na której przęgą siną, nabrzmiałą, krwawił się jeszcze ślad stryżki. I z tem piętnem okrutnem, z błyszczącymi oczami stał olbrzymi, wyprostowany, a blade jak widmo, jak trup, z grobowych wyrwany czeluści.

Doktor spróbował pokonać go spokojem.

— Bardzo dobrze — wyrzekł. — Wola twoja spełnioną zostanie.

— Kiedy? Kiedy?

— Może jutro.

— Jutro? Ależ to wieczność cała! Dlaczego nie zaraz? Czemu nie *teraz*? Umarłem i mam umrzeć raz jeszcze. Taką jest kara, przez Boga naznaczona; ja zaś przyjmuję ją, jako słuszną. Wzamian jednak błagam, niech się to odbędzie prędzej, prędzej!

— I owszem. Przyrzeknij mi, że się uspokoisz, a postaram się rzecz przyspieszyć.

Modena pochylił kornie głowę.

— Spróbuję być cierpliwym—odparł.—O, *signor*, gdybyś mógł wiedzieć, jak strasznie, jak bardzo cierpię, nie chciałbyś bólu tego przedłużyć.

I z łkaniem głuchem usiadł na łóżku, kryjąc twarz w dłonie obie.

Zaleciwszy pociechu dozorcóm, aby rozciągali baczność nad więźniem, nieszczęsny bowiem mógł na własne targnąć się życie, Redbrook opuścił celę, w której bolesna ta rozgrywała się scena.

Wracając do domu, spotkał na drodze Mr. Shadwell'a i, przystanąwszy, opowiedział mu w krótkości przebiegł całej rozmowy z Modeną.

— Dziwna rzecz — zauważył kapelan.—Po zostawilem go niedawno w stanie zupełnego spokoju. Być może, że ja tu jestem winien. Rzuciłem bowiem nieostrożnie parę słów o oczekiwaniem ułaskawieniu, i te go musiały podniecić.

— Bardzo to prawdopodobne—przyznał Redbrook.— *A propos*, czy wiesz pan, skończyłem właśnie czytać papiery, oddane mi przez pana. Dokument to nader ciekawy. Wstąp do mnie na chwilę, a przetłumaczę ci niektóre ustępy z niego.

Skierowali się obaj ku mieszkaniu lekarza. Tu, gdy zasiedli w pracowni, doktor wyjął z biurka rękopis i odczytał go cały po angielsku, zatrzymując się tylko niekiedy, dla odsylabizowania

trudniejszego słowa lub odnalezienia stosownych wyrazów w mowie ojczyściej. Gdy skończył wreszcie, młody duchowny ciężko westchnął i, przysłoniwszy dłonią oczy, w głębokiej zadumie się pogrążył.

— Powiedz mi pan, co myślisz o tem?—zapytał Redbrook wreszcie. — Wszak nie zechcesz już przeczyć, iż biedak jest obłąkanym szaleńcem, najzupełniej za czyny swe nieodpowiedzialnym?

— Daleki od wiary w pomieszanie zmysłów, sądzę przeciwnie, że teraz dopiero odzyskał je w pełni.

Doktor uśmiechnął się lekko.

— Jakto, więc pan mniemasz, że dzikie nonsensa, popisane tutaj, są naprawdę sprawozdaniem z wrażeń, przez niego odniesionych? Ależ opowiadanie to całe jest oparte najwidoczniej na nadwreżeniu systemu nerwowego, na chorobie mlecza i mózgu, spowodowanej strasznem wstrząśnieniem, jakiego doznał cały organizm. Same obrazy, sama użyta tu terminologia, wskazują początek manii religijnej. Człowiek ten, obdarzony pewną znajomością pojęć religijnych, lecz niewierzący w pierwiastek nieśmiertelny, w rzeczy nadnaturalne wogóle, umiera, a przynajmniej sądzi, że umiera. Następuje wszakże półuduszenie tylko, zamało silne, aby rzeczywistą śmierć wywołać. Tymczasem krew, niedość utleniona, uderza na mózg

i wywołuje całą seryę wrażeń strasznych, uwarunkowanych poprzednią obawą śmierci, bojaźnią przed karą, oraz świadomością zwykłych w takich razach przesądów.

— Zwróć przytem uwagę, drogi Shadwell'u—ciągnął lekarz po chwili,—na sam sposób wyrażania się w tym rękopisie. Rodzaj używanych tu obrazów odpowiada ściśle stylowi religijnych rozprawek, rozrzucanych przez stowarzyszenia misyjonarskie. Gwiazdzista przestrzeń, Złota Brama, postać ludzka podobna do wizerunków Chrystusa, a wobec tego mieszanina przerażających widziadeł, krwi, sztyletów, trupów, duchów. Doprawdy, trudnoby wziąć materyał taki za rzeczywiste objawienie wiecznej zagadki bytu.

— Nie wiem, nie chcę sądzić, a nie umiem tego objaśnić—odparł kapelan.—Gubię się w podziwie i... w zdumieniu. Zresztą mnie nie tyle uderzają słowa tego opowiadania, ile zmiana, zaszła w samym Modenie. Pan wiesz, jak on był głęboko przekonany o unicestwieniu, czekającym go po zgonie. A jednak oto jedna chwila zmienia go do niepoznania. Jeżeli też pragnie dziś umrzeć, to nie dla uniknięcia kary, lecz dla stawienia jej czoła, dla odniesienia zwycięstwa nad nędznem swem życiem i śmiercią doczesną.

— Przywidzeń takiego człowieka niepodobna obliczyć. Jest on poprostu obłąkany.

— Daruj pan, lecz na tym punkcie różnimy się krańcowo. Ja bowiem czuję głębokie przekonanie, iż Bóg w jakiś sposób cudowny uchylił przed nim rąbek wielkiej tajemnicy wszechbytu.

— Więc cóżbyś pan dziś z nim uczynił?— zapytał Redbrook.—Czy kazałbyś go powiesić po wtórnie?

— Sądzę, iż byłoby to mniej okrutnem nad zachowanie go przy życiu.

— Chyba pan żartujesz, nie mówisz tego poważnie? Pomyśl tylko o męczarniach fizycznych, jakie ten nieszczęsny znieść już musiał!

— A czemżeż są tortury ciała? Niezem—odparł Shadwell, powstając.—Przez duszę tylko cierpimy naprawdę. Patrz pan, z jaką rozkoszą człowiek ten domaga się śmierci, przed którą drżał pierwej. Dziś nie lęka jej się, bo wie, że zgon jest przejściem jedynie do innego życia!

— W każdym razie żywię gorącą nadzieję, iż rząd nadeśle ulaskawienie. Nie chciałbym bowiem brać napowrót udziału w tej ohydnej komedii wieszania.

— Podzielam pragnienia pańskie ze względu na samo poczucie ludzkości. Z drugiej jednak strony, kierowany politowaniem nad losem Modeny, chciałbym, spełniając życzenie nieszczęsnego, zabić go, zabić szybko i bez bólu, aby raz cierpieć przestał.

Rozstali się, młody kapelan chciał bowiem podążyć coprędzej do celi skazanego. Patrząc za nim, Redbrook wzruszył znacząco ramionami.

— *Arcades ambo!*— wyszeptał.— Zamiast jednego, mamy, jak widzę, dwóch szaleńców.

Pomimo tego, ujął ponownie rękopis Włocha i zaczął go odczytywać raz jeszcze, nietylko ze zdwojonem zajęciem i żywością, lecz ze szczerem wzruszeniem, do którego nie byłby chciał przyznać się zapewne.

Duchowny znalazł się tymczasem w celi Modeny. Chory z niezwykłą powitał go żywością. Słowa pociechy religijnej, jakimi starał się umysł jego uspokoić, nie należą do toku niniejszego opowiadania, zapuszczamy też na nie zasłonę, zaznaczając jedynie, iż słodycz jego i łagodna powaga, że serdeczne współczucie, z jakim znosił zmienne usposobienie więźnia, najdotadniej na tego ostatniego wpłynęły.

Zdawało się przytem, iż zamienili oni na chwilę stanowiska. Dziś nie ksiądz, lecz Modena był człowiekiem natchnionym wiarą głęboką, bezgraniczną i absolutną, człowiekiem, który, znalazłszy się oko w oko z Bogiem, znał nawskróś cudowną a przerażającą Jego potęgę. Shadwell, przeciwnie, przedstawiał zwykłą, przeciętną istotę, która nic nie wie i nic nie widziała, a jednak, potrzebą ducha wiedziona, zgaduje i wierzy. Głębokie przytem po-

czucie ludzkości, litość i słodycz młodego kapelana wiele się przyczyniły do utrwalenia cudu, zaszłego w duszy mordercy.

— Czy i ty, *signor*, myślisz, że obłąkany?— zapytał Włoch w chwili rozstania.

Duchowny zaprzeczył żywo.

— Wierzysz zatem, że umarłem i że ów zgon właśnie przekonał mię, iż śmierć nie kończy naszego jestestwa, że więc właściwie nie istnieje wcale?

— Wierzę. Wiesz przecież, iż zasada ta jest podstawą naszej religii.

— Dzielny i dobry z pana człowiek—przyznał Modena, składając na ręce księdza pełen czci pocałunek.—Jesteś pan jedyną na świecie istotą, która nigdy przede mną nie kłamała. Proszę też szczerze, abyś mnie nie odstępował, gdy jutro ponownie umierać będę.

— Pozostanę z tobą wszędzie, gdzie się to możebnie okaże. Przypuśćmy wszakże, iż Bóg w woli Swej niezbadanej nie chce, abyś ponownie śmierć poniósł.

— Bóg nie może wyroku swego zmieniać.

— A jeżeli w łasce nieskończonej żąda On, abyś pozostał na ziemi, abyś czas próby i pokuty tutaj uzupełnił?

Wyraz dzikiego przerażenia, bólu i rozpaczyny odbił się w rysach Włocha. Żrenice jego napełniły się łzami, usta drżały konwulsyjnie.

— Nie, *signor*—odparł po chwili.— Bóg nie byłby tak okrutnym. Wszak On wie najlepiej, ile lat wycierpiałem, ile nieskończonych męczarni zniosłem od owej chwili nieszczęsnej, w której przeciw prawom Jego odważyłem się zgrzeszyć. Tej jeszcze nocy miałem sen cudowny. Katarzyna przysłała sama i mówiła do mnie: „Dlaczego wróciłeś tutaj, Maurizio? My wciąż czekamy na ciebie u stóp bramy!“ Płakała przytem rzewnie. Muszę więc śpieszyć, bo tam ze sądem ociągają się na mnie. Wejdzimy za jasne wrota razem z Katarzyną, ręka w rękę. Dopóki jednak mnie niema, ona musi czekać zewnątrz nich, z ranami krwią sączącymi. Po cóż więc kazać jej cierpieć?

Tegoż wieczora nadeszło drogą urzędową ułaskawienie. Pomimo godziny spóźnionej, dyrektor więzienia zawezwał natychmiast kapelana i doktora Redbrook, aby im o rozporządzeniu tem powiedzieć.

— Sądzę—zakończył przemowę swą,—iż należałoby zawiadomić biedaka jaknajszybciej o zmianie, zaszedł w jego losach.

Dozorca więzienny jednak, wysłany do celi, doniósł, iż skazany spoczywa w śnie głębokim.

Wskutek tego postanowiono zakomunikować mu osnowę ulaskawienia nazajutrz dopiero.

Gdy jednak o świcie zmieniali się dozorca, nowy stróż bezpieczeństwa, zajmując miejsce znużonego towarzysza, uderzony został czemś niezwykłym w pozycyi śpiącego napozór więźnia. Modena leżał nawznak, z obliczem w świetle poranka dziwnie bladym i nieruchomym, z wyciągniętymi sztywno ramionami i oczyma szeroko rozwartymi, o bezwładnym, skamieniałym wejrzeniu.

Pochyliwszy się nad nim, dozorca wydał okrzyk grozy. Na posłaniu leżał trup zimny.

— Wstrząśnienie zbyt było silnem—zaopiniował doktor Redbrook w parę godzin później, po zbadaniu ciała. Zwracając się zaś do kapelana, który stał obok, patrząc smutnie na zmarłego, dodał: — Właściwie człowiek ten nie odzyskał nigdy władz poprzednich; gdyby też żył nawet, pozostałby na zawsze obłąkanym.

Słowa doktora stracone były. Shadwell zdawał się nie słyszeć ich wcale; wolno też przybliżył się do łoża śmierci, a wyciągając rękę, jak gdyby w błogosławieństwie nad marmurowym czołem nieboszczyka, wyszeptał:

— Bóg z nim! Przytomny czy obłąkany, niechaj spoczywa w spokoju!

Rysy zmarłego nie grożą, lecz uroczystym majestatem śmierci nacechowane, miały już na sobie wryte piętno tego spokoju. Oczy stężałe, straszne, przysłonięto mu powiekami, ręce skrzyżowane na piersiach zostały, włosy zaś, zwichrzone zwykle, przyglądano nad czołem wysokim a wązkim. Szyja tylko, obnażona w części, siniała krwawą, a dziś zczerniałą pręgą, pozostawioną przez rękę kata i stryczek hańbiący.

— Z tem wszystkiem—ciągnął Redbrook—człowiek ten był zwykłym mordercą, zbrodniarzem tem niebezpieczniejszym, iż obok wrodzonych zdolności posiadał jeszcze głębsze wykształcenie.

— Tak, tak — przyznał kapelan z lekkim zniecierpliwieniem, zapatrzony wciąż w rysy zmarłego. Poczem dodał w zadumie, jakby sam do siebie: — W chwilę po śmierci!... W chwilę po śmierci!...

— Ta chwila jest właśnie główną zagadką bytu — uzupełnił lekarz głosem stłumionym.— Trudno bowiem uwierzyć, aby działalność i zasady całego życia, oraz podstawa natury człowieczej, zdolne były uleść w jednej tej chwili zmianie gruntownej. Trzebaby na to długich wieków ewolucyj, by podobny kryminalista w przeobrażeniu swem na uwiecznienie zasługiwał.

Kapelan odwrócił się i, wzruszony do głębi, zmierzył go wzrokiem pełnym oburzenia.

— Filozofia wasza niewiele znać pana nauczyła, skoro nie możesz rozróżnić, iż *czas* jest tylko wyrażeniem oderwanem, abstrakcyjnym, wynalezionem przez mowę ludzką dla określenia przestrzeni, którą świadomość człowieka lepiej pojmuje, niż cechy nieskończoności, mniej dla nas zrozumiałe. Chwila? Alboż pan nie wiesz, że chwila jedna może z woli bożej wieczność zamknąć w sobie? W krótkich minutach między pierwszą swą śmiercią a zmartwychwstaniem Modena żył może dłużej, niż my obaj przez cały czas naszej ziemskiej wędrówki. Przebył on wtedy niepojęty okres przemiany, przygotowania, pokuty i kary, okres ewolucyj, jeżeli pan wolisz takie miano. To więc, co nam się cudem wydaje, mogło być tylko działaniem nieodwołalnych praw natury. Lecz dosyć! Odejdź pan, zostaw mię, błagam! Pozwól mi klęknąć tu samotnie i modlić się przy umarłym!

— I owszem, odchodzę — zgodził się doktor Redbrook; opuszczając jednak cełę, dodał:—W każdym razie cieszy mię, iż biedny ten człowiek przestał się męczyć nareszcie, że śmierć od dalszej wybawiła go kary.

Ksiądz odwrócił się raz jeszcze i, z ręką na piersi trupa opartą, zmierzył doktora spojrzeniem pełnem powagi.

— Śmierć? — powtórzył.—Więc pan myślisz, że on umarł naprawdę? że istnienie jego

skończone? że wszystko, co po nim zostało, to ta garść popiołów, spoczywających tutaj?

— Bezwątpienia.

— A więc ja powiadam panu, że nie umarł, bo zgon nie jest końcem rzeczywistego życia! Śmierć bowiem nie niszczy całego naszego istnienia!

I, głęboką wiarą przejęty, upadłszy na kolana przy zmarłym, w modlitwie się pogrążył.

ZAKOŃCZENIE.

Umarłem! Wiedziałem o tem wczoraj odrazu. W pokoju było ciemno zupełnie. Jeden tylko srebrny promień księżyca, wdarłszy się przez zasłonę, u okien zwieszoną, przyszedł oświecić twarz bladą, w trumnie złożoną. Powstałem wtedy i widziałem sam siebie, jak gdyby w fali zwierciadła. Oblicze zbiegłe posiadało nieruchomość marmuru, oczy przysłaniały żółte, woskowe powieki; z pod śmiertelnego całunu zaś wydobywała się woń dziwna, właściwa zeschniętym kwiatom, woń mięsa, a raczej ciała, w którym życie krążyć przestało.

Tak, twarz ta była moją twarzą. Znałem rys jej każdy, aż do drobnego znamienia na

brodzie, pomiędzy rzadkimi włosami zarostu, aż do tej lekkiej blizny na czole.

— Dlaczego pozostawiono mnie tu samego?—pytałem się ze zdumieniem, przerażony martwą ciszą całego domu, w którym nie dawał się słyszeć szmer najłżejszy.

Czemu się jednak lękałem? Pokój ten znałem dobrze przecież, bo przez lata długie za sypialnię mi służył. Nad kominkiem leżała książka, którą czytałem dawno, dawno temu, gdy byłem chorym jeszcze. Na ścianie wisiał ulubiony mój obraz; przedstawiał on wzburzone fale morskie i Piotra, tonącego w ich głębi; a dalej po powierzchni spienionych bałwanów szedł spokojnie człowiek młody, Jezusem zwany. Wszystko w komnacie tej było mi tak znane, a jednak tak obce i dziwne.

Umarłem więc i żyłem zarazem. Leżałem tam, na marach, sztywny, skamieniały, ze szczęką podwiązaną i skrzyżowanymi na piersiach rękami, równocześnie zaś stałem obok trumny, przyglądając się własnemu trupowi.

Otworzyłem drzwi wreszcie, a przyjrawszy się, czy niema kogo na korytarzu, wysunąłem się z pokoju, zamykając go za sobą. Znalazłszy dalej uchylone podwoje, wszedłem do gabinetu mego, w którym dawniej pracowałem i myślałem. Odnalazłem tu wszystko na swem miejscu, od ulubio-

nych mych książek i obrazów, aż do rozłożonych na biurku kart niedokończonego pisania.

W pokoju ciemno było zupełnie, ja wszakże widziałem rzecz każdą dokładnie.

Zbliżywszy się do okna, spojrzałem przez nie: księżyc oświecał jasno ulice i dachy domów, niebo zaś skrzyło się gwiazdami. Posłyszałem równocześnie odgłos kroków na bruku i człowiek jakiś przeszedł obok okien, a rysy jego, srebrnem światłem oblane, wyraźnie uwydatniały się przed memi oczyma.

Wszystko to było jasne, proste, a jednak w opuszczeniu mem czułem rozpacz gnębiącą. Chciałem się rzucić, krzyknąć, lecz piersi odmówiły mi głosu, zamarł w ich głębi. Zwróciłem się napowrót do środka pokoju, a ujrzawszy lustro nad kominkiem, stanąłem przed niem. W tafli jego lśniącej odbiły się własne me rysy, lecz takie, jakimi widziałem je w trumnie, ze źrenicami przypieczętowanemi woskową powieką.

W domu zaś całym cisza, najłżejszego szmeru pozbawiona.

Zwróciłem się znów do przedpokoju. Tam inne drzwi otwarły się zcicha przede mną. Na łóżku leżała moja matka; oczy jej, szeroko rozwarte, napróżno snu wzywały, dusza bowiem rwała się do syna, tęskniąc za nim. Siwe jej włosy rozrzucone były bezładnie na poduszce, wychudłe ręce

poruszały się nerwowo. Pochyliłem się, składając pocałunek na jej czole. Rysy staruszki opromieniła błogość wewnętrzna; nie widziała mnie jednak. Wzruszony, pragnąłem ją uspokoić, chciałem zawołać: „Matko! Matko!“ chciałem pocieszyć ją, lecz głos zamarł mi znów w piersiach, usta więc wydobyć go nie mogły.

Wzamian spostrzegłem, iż wargi jej poruszają się; uszu mych zaś doszedł szept cichy:

— Był to mój syn pierworodny, mój syn jedyny... Nikt na świecie porównać się z nim nie mógł, nikt... Czyż sądziłam, że go śmierć pochwyti? I ja pójdę za nim... I dla mnie niema tu już miejsca... Ziemia pustką mi się wydaje bez niego. On jeden mnie kochał, on jeden był uśmiechem i światłem mego życia.

Nie mogłem tego znieść dłużej. Nie mogłem patrzeć na ból jej, na cierpienia, stojąc obok bezradnie i szukając napróżno słów, którymi potrafiłbym pociechę jej przynieść. Świadomość, że mnie nawet nie widzi, że nie odczuwa obecności mej, zbyt gnębiącą przejmowała mnie rozpaczą. Zanim jednak zdołałem postanowić cośkolwiek, matka ma powstała i, zapaliwszy świecę, przeszła osłabionemi nogami do sąsiedniego pokoju, w którym umarły na marach leżałem. Ja zaś, ja nieszczęsny, do miejsca przykuty, musiałem stać za nią i patrzeć, jak pochyliwszy się nad ciałem mem, całowała

zimne usta, jak wsparta o trumnę, gładziła włosy me, zawodząc: „Synu mój! synu!“ Ten okrzyk jej rozdzierający, bolesny, zakłócał nocną ciszę i, płynąc w dal, zdawał się światem wstrząsać. Napróżno jednak próbowałem nań odpowiedzieć; wolno mi było patrzeć tylko na ból jej, na postać tę, klęczącą u stóp katafalku, z modlitwą, wśród łkań i łez szeptaną.

Płacz ów krwawił mi serce; odszedłem więc i, wstępując po schodach, zatrzymałem się w sypialni służebnych, które, czuwaniem znużone, w głębokim śnie spoczywały.

Z kolei inny odwiedziłem pokój. Tu, znużona, wyczerpana i rzucająca się niespokojnie, spała moja ukochana. Powieki jej i poduszka łzami zwilżona wskazywały wyraźnie, że płacz do snu ją ukochywał. Błada i piękna, leżała, szepcząc bezwiednie dzikie jakieś słowa. Otoczywszy ją ramionami, ucałowałem drobne usta, błagając, aby się zbudziła. Oczy jej otwały się w rzeczy samej; nie dojrzała mnie wszakże. Rysy jej tylko, w miarę odzyskiwanej świadomości, odzwierciadlały całe morze rozpaczy i wśród ciemności nowem wybuchnęła łkaniem.

Pragnąłem przemówić do niej. Chciałem powiedzieć: „Najdroższa, dlaczego pozostawiłaś mnie tam samego? Uspokój się jednak, bo oto jestem znów z tobą!“

Ale ona nie widziała mnie, nie odgadywała obecności mej, choć imię me powtarzała ciągle wśród łkań gorących. I cała nasza miłość, cała słodycz i urok życia przesunęły się przed memi oczyma, pogrążając mnie w rozpacz, która mówiła wyraźnie, że ją straciłem na zawsze, że umarłem!...

Leżałem cicho i spokojnie w mej trumnie, gdy świt, rozpraszając cienie nocy, dotknął mnie palcem swym, ścierając zimną rosę z ust mych i czoła. Nareszcie usłyszałem pierwsze głosy w domu. To matka ma i ukochana przyszły razem; stanawszy zaś obok mar śmiertelnych, płakały, tuląc się do siebie wzajemnie.

Mogłem najdokładniej rozróżnić ich słowa:

— Jaki on spokojny! — mówiły. — Niech go Bóg błogosławi!

Rozpacz ich bolała mnie. Chciałem też poruszyć się, otworzyć oczy, powiedzieć im, że słyszę wszystko. Nie mogłem jednak okazać, że świadomy jestem ich obecności, nie mogłem płakać, choć łzy słone, okrutne, powieki mi gryzły... Później, w biegu dnia, obcy jacyś ludzie weszli do komnaty, a ukochane moje postępowały za nimi, płacząc i zawodząc gorzko. Zanim zaś zdołano zamknąć wieko od trumny, ucałowały mię obie najtkliwiej, błogosławiąc na wieczność całą.

Straszne to wieko zapadło wreszcie, w głębokiej pogrążając mnie ciemności. A jednak i wtedy jeszcze stałem przy marach, obok trumny, kwieciami i wieńcami pokrytej.

Pomimo światła dziennego, dom cały ciemny był i cichy. Zeszedłem na dół do salonu, gdzie zebrali się goście pogrzebowi. Starzy przyjaciele, których znałem dobrze, siedzieli tu przy stole, zastawionym winem i ciastami. Rozmawiali ze sobą, szeptem nieledwie, nikt z nich jednak nie dostrzegł mnie, nikt z obecności mojej nie zdawał sobie sprawy. Samotność też, otaczająca mnie, miała coś przerażającego w sobie.

Zamkniętego w trumnie ciemnej wzięli wreszcie ludzie obcy na ramiona i wynieśli przed dom, gdzie stał już karawan. A ja szedłem za nimi, słysząc równocześnie okrzyki matki i ukochanej, wybiegające rozpacznie z wnętrza mieszkania. Drobnny deszczyk padał ciągle, nawskróś chłodem swym przejmując. Z dreszczem też myślałem, jak zimno, jak ciężko będzie mi leżeć w mogile, głęboko wykopanej...

I zebrali się wszyscy, a ja wraz z nimi, przy grobie, czekając na spuszczenie ciała do dołu i słuchając modłów ostatnich, z rytuału za umarłych przez księży wygłaszanych. Widziałem, jak oderwano z trumny wieńce i kwiecie, jak zagłębiono ją w mogile, a pierwsza grudka ziemi gro-

mem o serce me uderzyła. Matka i ukochana, czarno ubrane, stały w pobliżu, śledząc ostatniem spojrzeniem trumnę, którą traciły na wieki.

Chciałem zawołać na nie, lecz głos znów mi wypowiedział posłuszeństwo. Poczulem się odosobniony, odcięty od wszystkich, a deszcz, jak łzy z oczów Boga, dużemi spadał na mnie kroplami.

Gdy wróciłem do domu, wydał on mi się bardziej jeszcze samotny. Pomimo chwilowego chłodu, było to lato. Okna więc poroztwierano naościęz, a zapach ziół i kwiatów przepelniał powietrze; w mieszkaniu jednak smutno zdawało się i ciemno.

Te, które najwięcej na świecie kochałem, jak duchy snuły się po opustoszałych pokojach, nie wiedząc, że ów zmarły a stracony krok w krok postępuje za nimi. To też gdy ujrzałem ją, siedzącą w mej pracowni, gdy patrzyłem, jak przegląda papiery i książki, przeze mnie ulubione, byłbym chętnie umarł drugi raz za możność ujęcia jej w ramiona i osuszenia łez tych pocałunkami. Bo oddech jej stanowił dla ust mych myrrę najmiłszą, bo miłość jej była światłem mego życia.

Dojrawszy zaś matkę mą, siedzącą samotnie w swym pokoju, matkę siwowłosą, znużoną, z oczami w przestrzeń wlepionemi, pojąłem, że ona mnie widzi tam gdzieś w dali, że wkrótce sama do mnie podąży. A myśl ta stała się osłodą mej samotności, odbierając śmierci dotychczasowe jej żądło.

Pomimo tego, powtarzałem sobie codziennie: „Jak też prędko zapomną mnie ci, których kochałem? Jak prędko obraz mój zatrze się w ich pamięci?” A myśl, raz w tym kierunku obudzona, stała się śmiertelniejszą od śmierci samej, przyniosła mi bowiem poczucie nicości i zapomnienia. Zdawało się, iż otwarte czeluście grobowe chcą mnie pochłonać powtórnie, na zawsze zaś tym razem.

Jaki ten dom był smutny! Leżąc w mogile, zwiedzałem równocześnie każdy jego zakątek. Rozdwoiłem się i zdawało mi się, że jestem jednością w bliźniaczych dwóch postaciach, byłem zaś cieniem, błakającym się na krawędzi życia i śmierci, ciemnością u domowego ogniska, istotą niewidzialną, a imienia pozbawioną. Niemy, pozbawiony głosu, niewidziany, nieznany nikomu, czekałem... W miarę zaś, jak dni słonecznej pogody rozjaśniały dom ten stary, czułem się coraz słabszym, coraz niksiejszym, coraz bardziej zapadającym w otchłań zapomnienia.

Wtem, nocy jednej, powstał zamęt w domu. Słyszałem odgłos szybko biegających kroków i udałem się w ich kierunku. To ona, ukochana moja, leżała twarzą do ziemi, a gdy ktoś podbiegł i podniósł ją, ujrzałem, że nie żyła. Umarła narówni ze mną! Lecz patrząc na postać jej martwą i oczy blasku pozbawione, spostrzegłem nagle, że, leżąc tam, stoi ona równocześnie przy mnie, że

żrenicami tkliwie ku mnie zwróconemi i słodkim na ustach uśmiechem. Widziała mnie teraz. Poznaliśmy się natychmiast, a w chwili tej każdą myśl i całe życie nasze opromieniła aureola szczęścia i zadowolenia. Wymówiłem jej imię, posłyszała i radośnie rzuciła się w me objęcia...

Wtem, obudziwszy się nagle, ujrzałem, iż stoi ona w rzeczy samej pochylona nade mną, a pełna blasku, uroku i życia. Obok niej matka siwowłosa uśmiechała się do mnie tkliwie.

— Jakże ty śpisz dziś długo — zawołała ukochana moja.—Krzyknęłeś tak głośno, że przybiegłyśmy obie. Chyba cię zły sen męczył?

— Tak — przyznałem, przyglądając jej się przez łzy, przysłaniające mi oczy.

— Musiało to być jakieś straszne widziadło? Ale patrz, minęło już przecież.

Spojrzałem badawczo w jej oblicze.

— Śniło mi się, że umarłem—mówiłem zwolna.—Nie; zdawało mi się raczej, że leżąc w trumnie, żyję i chodzę po świecie równocześnie.

Zaśmiała się, a zarzuciwszy mi ramiona na szyję, chłód, otaczający mnie dotąd, pocałunkami z ust mych starła. Pod wrażeniem ich zrozumiałem, że śmierć jest tylko niebiańską nazwą Miłości, która istotę Wiecznego Życia stanowi.